



MUZEUM BIŻUTERII MoJA JUŻ OTWARTE



MoJA
Museum
of Jewellery Art

Odkryj ze mną biżuterię,
która opowiada

Join me in discovering
jewellery that tells a story

Mecenasem miejsca jest **YES**





Intro

Redaktor naczelny: **Dawid Balcerek**

Gra muzyka i jest kolorowo. Idealnie wpasowaliśmy się z wydaniem tego numeru. Tego dnia otwiera się większość plenerowych miejscówek, które zapowiadają już mnóstwo imprez i koncertów. Przed nami najlepszy okres, czyli wiosna i lato naszpikowane świetnymi wydarzeniami pod chmurką. Na szczęście przed nami duże festiwale, bo niestety na koncerty halowe nie mamy co liczyć. Mimo wielu kłód rzucanych poznańskiej kulturze pod nogi, nasze miasto prezentuje się nader dobrze. W dużej mierze, dzięki prywatnym inicjatywom, o naszym mieście w końcu mówi się w kraju. Między innymi dzięki agencji Good Taste, która w tym roku organizuje drugą edycję festiwalu BitterSweet i rozbiła bank. Poznań krzyczy „halo, my też tu jesteśmy!” Na Cytadeli zagra m.in. Robbie Williams, co w skali naszego miasta jest wielkim wydarzeniem. Na tym festiwalu agencja mogłaby poprzestać i całkiem dobrze żyć przez resztę roku, ale to tylko kropla w morzu ich działań. W dniu wydania Freshmaga, rozpoczął się właśnie kolejny NEXT Fest z niezliczoną ilością koncertów w całym mieście. Dla fanów spokojniejszych brzmień mamy ponownie Blue Summer Jazz Festival, który odbędzie się w lipcu w Parku Starego Browaru. Zaraz potem Edison Festiwal w Kiekrzu, gdzie zagra m.in. zespół Bibobit, z którym zrobiliśmy wywiad do tego numeru. Warto pamiętać, że na koniec lata odbędzie się Babie Lato na Cytadeli. I pomyśleć, że za te wszystkie wydarzenia jest odpowiedzialna jedna agencja. Dziękuję Good Taste, że jesteście!

Mocnym wydarzeniem jest również Rockowizna dla fanów brzmień gitarowych, gdzie na scenie zagrają m.in. Sex Pistols! Ten młody festiwal ma bardzo duże ambicje i nie możemy się doczekać kolejnych ogłoszeń oraz jego przyszłości w kolejnych latach.

Nie jest tak, że miasto nic nie robi, bo również dorzuca swoje trzy grosze – przed nami Ethno Port 2026 oraz mocno elektroniczna edycja Malta Festival.

Wiosenny numer to treściwa dawka wywiadów z poznańskimi artystami. Znajdziecie na naszych stronach m.in. obszerny wywiad z legendarną kapelą Acid Drinkers – Titus i Litza jak zawsze w formie! Mamy również aż trzech rozmówców, którzy „debiutują” na rynku muzycznym ze swoimi albumami: Gary Holldman, NATA oraz zespół Youth Novels. Do tego wspomniany Bibobit i tak powstał najbardziej muzyczny numer w historii Freshmaga.

Okładkę stworzył street art’owy artysta Rojber, który przedstawił się na łamach działu Fresh Art. Jest kolorowo, muzyka gra.

Redakcja Freshmaga nie ponosi odpowiedzialności za zmiany terminów imprez oraz za treść reklam.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

REDAKCJA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Julia Lipowicz
Zofia Myślicka
Rafał Szaroleta
Sylwia Klaczyńska

Karolina Sierszulska
Joanna Gruszczyńska
Maciej Szymaniak

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Rojber

Poznańska legenda podbija festiwale 4
Wywiad z Titusem i Litzą z Acid Drinkers

**Park Starego Browaru wypełni się
jazzowymi dźwiękami** 16
3. edycja Blue Summer Jazz Festival

Wiosna, miasto, moda 24
Sezon wolności, awangardy i rozmachu

**70 lat temu powstała Państwowa
Operetka Poznańska** 32
Urodziny Teatru Muzycznego

Muzyczna podróż przez kontynenty 38
Ethno Port 2026

12 „Wdech” Bibobitu
Wywiad z liderem zespołu,
Danielem Moszczyńskim

20 O języku sztuki
Maria Magdalena Kwiatkiewicz
o Museum of Jewellery Art

28 „Diabeł i dziewczyna” w Teatrze Nowym
Rozmowa z aktorką Weroniką Asińską o piekle
Sinéad O’Connor

34 Główna
Rzemieślnicza dzielnica Poznania





Debiutancki album poznańskiego duetu **40**
Wywiad z Youth Novels

Poznański DJ i producent wydaje płytę **48**
po 15 latach działalności
Wywiad z Garym Holldmanem

Fresh Art **56**
Rojber

Artysta przez AI **68**
Felieton Mai Koman

44 NATA przełamuje tabu
Solowy debiut poznańskiej artystki

52 Muzyka na żywo, winyle i dobra kawa
Odwiedzamy klubokawiarnię Filter

64 „Cześć pyry i skibki!”
Poznaj Poznań z Martą Kubisiak



Bunt, który trzeba umieć dobrze zagrać

Titus i Litza – Acid Drinkers

Rozmawiał: Michał Krupski

Zdjęcia: Piotr Skrzypek



Acid Drinkers to dziś zespół, który z naszego miasta przyciąga największą publiczność. I choć wciąż lubią myśleć o sobie jako o formacji alternatywnej i buntowniczej, to przy frekwencji przekraczającej 4000 osób na koncercie trudno już mówić o ni-szy – to raczej solidnie ugruntowana pozycja na scenie. Ich powrót był wydarzeniem dużego kalibru, ale chyba mało kto przewidział, że aż tak mocno zaznaczą swoją obecność na polskiej scenie rock and rol-lowej. Spotkaliśmy się w Kaferdamie, przy kawie, w kameralnym składzie – połowa zespołu, zero scenicznego hałasu, za to sporo spokoju i dystansu. Rozmowa miała dotyczyć popularności, ale jak to zwykle bywa przy takich spotkaniach, szybko zesliśmy z głównego toru. I dobrze – bo zamiast gotowych odpowiedzi pojawiła się szczerść, refleksja i coś, co trudno wyreżyserować. Litza i Titus okazali się dokładnie takimi ludźmi, jakich chce się spotkać poza sceną – autentyczność była tu bardziej wyczuwalna niż jakikolwiek gitarowy przester. Acid Drinkers zagrają niebawem na Festiwalu Rockowizna.



Zadowoleni z koncertu na Targach? Mieliście dobrą publikę.

Titus: I tak, i nie. Jestem zadowolony z występów zespołów, frekwencji, organizacji i nagłośnienia. Natomiast akustyka sali pozostawiała wiele do życzenia. Już na próbie, kiedy zobaczyłem blaszany sufit i stalową konstrukcję, wiedziałem, że niewiele da się zrobić. Gdybym pół roku wcześniej wiedział, jak to wygląda, sugerowałbym zmianę miejsca. Choć pewnie i tak nic by to nie zmieniło, bo zwyczajnie brakuje przestrzeni do takich koncertów. Poznań jest biedny w duże sale koncertowe. Brakuje Areny.

Litza: Dodam tylko, że to nie była wina nagłośnienia – mieliśmy naprawdę bardzo dobre. Natomiast nagłośnienie takiej sali to ogromne wyzwanie. Z drugiej strony ma to klimat lat dziewięćdziesiątych. Wtedy często graliśmy w podobnych miejscach – hale, lodowiska. Pamiętam koncert, kiedy Popcorn nie dojechał i Jaca, nasz techniczny, wskoczył na scenę. Zagraliśmy

z jedną gitarą i nikomu jej nie brakowało. Pogłos robił swoje. Nic nie zrobimy, Arena jest w remoncie, więc faktycznie nie ma gdzie grać takich koncertów.

Ile było osób?

Titus: Około cztery tysiące.

Mam wrażenie, że jesteście dziś zespołem z Poznania, który przyciąga najwięcej ludzi.

Litza: Trudno powiedzieć, ale faktycznie liczby są duże.

Tomek, kojarzysz takiego faceta jak Western?

Titus: Tak, kojarzę.

Zdarza się, że ktoś Ciebie z nim myli?

Titus: Nie, ale podobno w drugą stronę się zdarza.

To mam anegdotkę. Kiedyś w klubie 8 Bitów na Garbarach, w czasach kiedy Acid Drinkers było nieaktywne, Western pojawił się na parkiecie i go pomyłono z Tobą. Był tym faktem oburzony. Myślałem, że te pomyłki działają w dwie strony, bo rzeczywiście podobieństwo między Wami jest.

Titus: To facet z mojej dzielnicy. Aż się dziwię, że się jeszcze nie spotkaliśmy. (śmiech)

Litza: Przecież jak zaczeszesz włosy do tyłu, to moglibyście być bracholami. (śmiech)

Powrót na scenę – to było wyzwanie czy przyszło naturalnie?

Litza: Dla mnie to było coś bardzo fajnego. Z Titusem widywaliśmy się od czasu do czasu, ale temat powrotu zawsze gdzieś wracał. Przełomem był koncert Flapjacka z okazji rocznicy płyty „Sugarfree”. Zaprosiłem Titusa na scenę, bo przecież on kiedyś z nami grał. Titus też zaprosił Popcorna. Zamiast grać Flapjacka, zagraliśmy numery Acid Drinkers. Chcieliśmy sprawdzić, czy to ma sens. Okazało się, że ma. Tak się to nasze spotkanie na scenie na trzeźwo rodziło. Potem przez kilka miesięcy regularnie próbowaliśmy i wszystko zaczęło się układać.

Titus: Dla mnie to było wyzwanie, bo po tylu latach musiałem trochę zmienić swoją rolę. Przez 30 lat byłem w centrum – scena, teksty, kontakt z publicznością. Musiałem zrobić krok w tył. Nie wiem, czy to nie było trochę za wcześnie, ale skoro wszyscy chcieli wracać, to nie zamierzałem siedzieć w domu.

Litza: Oczywiście było to wyzwanie. Te utwory wcale nie są łatwe do grania. Przy innych projektach można się rozleniwzić, a w Acid Drinkers nie ma zmiłuj. W Acidach w jednym utworze jest więcej grania niż na całym koncercie np. Luxtorpedy. Trzeba być bardzo precyzyjnym – zwłaszcza stojąc obok takiego gościa jak Popcorn, który jest najlepszym gitarzystą metalowym w Polsce.

Acid Drinkers – to jeszcze jest bunt czy już rzemiosło?

Litza: Zawsze to jest bunt.

Titus: Tak – nawet wobec samego siebie. (śmiech) Ale rzemiosło musi być. Żeby bunt miał ostrze i siłę, musi być dobrze

wykonany. Rzemiosło musi być perfekcyjne. Nie jakiś plask z otwartej, tylko porządnie z pięści.

Powtarzacie często, że dzisiejsze Acid Drinkers jakościowo jest w najlepszym momencie w swojej historii.

Litza: Tak, to przez doświadczenie, jakie mamy. Jakby nie patrzeć, robimy to ponad 30 lat.

Titus: Chyba musieliśmy się porządnie nauczyć grać te numery. A że zajęło to 30 lat... (śmiech)

Czy obawialiście się reakcji fanów po powrocie?

Titus: Nie myślałem o tym. Skupiłem się na przygotowaniu zespołu do koncertów.

Litza: Największą frajdą jest dla nas wspólne granie. Próby, spotkania, granie razem – to jest sedno. Próbowaliśmy grać numery, których nie ma na koncertach. Wiesz, to jest fajna zabawa i o to w tym wszystkim chodzi. Ja z Popcornem spotykam się też czasami poza próbami, aby sobie pograć. Coś lepszego można dziś robić niż spotkanie z drugim człowiekiem i po prostu grać?

Wasz pierwszy koncert po powrocie? To był Blue Note?

Titus: Nie, nie. Pierwszy był tak naprawdę tajny koncert w Kłecku. W Blue Note było to z Flapjackiem.

Litza: Graliśmy pod inną nazwą – De Sqrviouss. To był taki test. Bo w Blue Note za naszymi plecami był napis Scorpions. Potem stwierdziliśmy, że nie możemy być Scorpions.

Titus: Bo są za słabi. (śmiech)

Litza: No i w taki sposób Titus zmienił nazwę na De Sqrviouss i kto wie, może jeszcze kiedyś tak zagramy. (śmiech)

Staliście się bardzo pożądanym zespołem festiwalowym. Jesteś przekonany, że macie sporo propozycji i nie wszystkie przyjmujecie. Pojawicie się w kilku miejscach w Wielkopolsce, w tym na Rockowiźnie w Poznaniu. Gracie tam już drugi raz z rzędu. Widać, że ten projekt rośnie w siłę.

Titus: Jeśli wszystko jest perfekcyjnie przygotowane – scena, zaplecze, organizacja – to można się skupić na graniu i to jest



najważniejsze. Visual Production staje na głowie, aby wszystko tam dobrze wyszło.

Litza: Dla mnie w ogóle ten Visual to jeden z lepszych producentów festiwalu. I nie chodzi o to, że ten Poznań jakoś chwale, ale tam naprawdę dla muzyka jest wszystko bardzo dobrze przygotowane. Poza tym oni mieli duży wpływ na nasz powrót na dużą scenę zaraz po reaktywacji, za co jesteśmy wdzięczni. Gdyby nie Visual, to kto wie, może nadal byśmy tylko grali sobie próby w salce.

Titus: Tak, to właśnie oni wyszli z propozycją festiwalową.

Czyli oni byli iskrą zapalną...

Litza: My chcieliśmy sobie po prostu gdzieś zagrać po powrocie, a Visual wyszedł z dużą propozycją. Tak jak im udało

się wskrzesić Comę, tak mają też zasługę w powrocie Acid Drinkers na scenę. Ale dla mnie nadal najważniejsze są koncerty klubowe. Tam jest prawdziwy kontakt z ludźmi. Może uda się na jesień zagrać taką trasę.

To prawda, bo na festiwal często ludzie przyjeżdżają dla samego festiwalu, a nie na konkretny zespół.

Litza: Ale zobacz, na naszym koncercie na hali było więcej osób niż na całym festiwalu.

Jak Wam się podoba miejsce Rockowizny? Bo nieczęsto zdarza się grać koncerty festiwalowe na lotniskach.

Litza: Samolot do chaty bezpośrednio mamy. Przylatujemy Popcorna jetem. Normalnie Popcorn ma jeszcze statek kos-

„Nie chcę być liderem. U nas wszystko jest świetnie podzieloną robotą”

miczny, ale na ziemi korzysta z samolotów. Chyba że zaprasza nas na inną planetę, to ma zupełnie inny pojazd. (śmiej)

Titus: Najważniejsze, że koncerty odbywają się w miejscu, gdzie jest płasko i dużo trawy.

Robert, jakimi kryteriami się kierujesz, że na zespół A poświęcasz tyle czasu, a na zespół B tyle? Pewnie ciężko pogodzić działalność w pięciu zespołach i codzienną pracę.

Litza: Na każdy zespół poświęcam 100% czasu.

Titus: Tak, on ma 500% czasu. I to jest prawdziwa sztuka. (śmiej)

Litza: Dziś wstałem o 2:30. Kładłem się o 19:30. Poszedłem spać w opakowaniu. Zjadłem kolację na śniadanie. Zrobiłem przedziałek i o wpół do trzeciej byłem już ubrany. O 5 rano zjadłem obiad. Serio mówię.

Nie macie jednego lidera – to rzadkie.

Titus: Nie chcę być liderem. U nas wszystko jest świetnie podzieloną robotą. Pamiętam, jak kiedyś ktoś na Śląsku zapowiedział nas: „Titus i Acid Drinkers” – kurwa, ale byłem zniesmaczony.

Wiele zespołów działa tak, że jest lider i czasami zmienia sobie zespół. Np. Apteka to jest Kodym i zespół. U Was nigdy by to nie przeszło...

Titus: Dla mnie Apteka to jest pani magister w białym fartuchu. Może dla kogoś to Kodym i niech tak będzie.

Litza: My jesteśmy band. Musi być proch, kula, łuska, wystrzał.

Nie od dziś wiadomo, że poza sceną jesteście szanującymi się kumplami. Pewnie każdy dałby za siebie w mordę. Czy przyjaźń jest kluczowa do tego, aby po 36 latach być lepszym zespołem?

Titus: Tak. Nikt nie chce podejść, aby dostać młotek. Może wiedzą, że mamy klamki.

Litza: Ale były takie sytuacje. Kiedyś musiałem oddać gitarę i jednego chłopaka w publice uspokoić przemocą. Potem wróciłem na scenę i zagraliśmy kawałek.

Czyli czasami biłeś się na koncertach?

Titus: On kiedyś bił mnóstwo ludzi.

Normalnie wszędzie lałeś wiarę?

Litza: Tak, i to często. Ale ja też dostawałem po ryju.

A Ty, Titus, biłeś się kiedyś na koncercie?

Titus: Nie. Ostatnio pobiłem faceta w wojsku, ale to już dawno było.

Litza: U nas w zespole jest taki podział na sekcję i gitarzystów. Bywało tak, że Titus lał się ze Ślimakiem, a ja z Popcornem. I to było bardzo fajne, bo zamiast tłumaczyć sobie, że trzeba być na wszystkich próbach i zawsze być dyspozycyjnym, to po prostu się biliśmy. Np. Popcorn kiedyś nie było, bo zakotwiczył w Berlinie. Po jego powrocie sekcja odsunęła sprzęt, wyszliśmy na środek i się biliśmy. Po czym przytuliliśmy się i graliśmy. Ale była kiedyś taka sytuacja, że pojechaliśmy po takiej bitce do szycia, bo spadła na nas meblościanka. Mi odebrał się płat skóry i szyli mnie na Strusia. Także załatwialiśmy tak sprawy, bo prawdziwi przyjaciele mogą się pokłócić, pobić i nadal być razem.

Widać to gołym okiem, że macie ogromny szacunek do siebie. Na co dzień też dzwonicie do siebie i odwiedzacie się?

Titus: To zależy, kto do kogo. My jesteśmy mentalnie tak różni, że aby się dogadać, to na stole musi pojawić się 3 x 0,7 + setka.

Litza: Ale bywało tak, że dzwoniłeś do mnie w środku nocy i mi coś opowiadałeś.

Titus: Nie pamiętam.

Litza: No, domyśliłem się. (śmiech)

Titus: Popcorn jak do mnie dzwoni, to zawsze jest trafiony i tylko w nocy.

Litza: Do mnie ostatnio dzwonił o 4:00. (śmiech)

Titus: Nigdy nie zadzwoni na trzeźwo w jakiejś sprawie, ale tak naprawdę nie musi, bo my o sobie już wszystko wiemy. Nawet siedząc razem 4 dni przy stole, i tak nie mamy o czym rozmawiać, bo już i tak wszystko wiadomo. Możemy sobie siedzieć w milczeniu. Po 4 dobach przyjeżdżają do nas żony albo patrol policji, aby nas rozdzielić.

Litza: Wiadomo, że na koncertach mamy pewną rolę, ale jak chcę poza nimi spotkać się z Tomkiem, to przyjeżdżam do niego. Titus dobrze gotuje, ostatnio zrobił świetne chili con carne. Zjedliśmy, wypaliliśmy po cygarze i wtedy można normalnie pogadać.

Dlaczego polskie zespoły metalowe i rockowe rzadko robią dużą karierę za granicą?

Titus: To trudny temat. Ale karierę robił Vader i Behemoth. Nam na przykład nigdy nie przyszło do głowy, aby robić jakąś międzynarodową karierę.

Litza: Jest też Riverside. Trochę jesteśmy „domatorami”. A świat wygląda inaczej niż Polska. Inne realia, inne ograniczenia. Jak graliśmy w Stanach, wyszliśmy na Times Square i pytam Titusa: „I jak?”, a on: „Jak na Głogowskiej”. Z kolei Popcorn wyszedł z piwem gdzieś pół metra za obszar koncertu. Skuli go i zamknęli na dołku w New Jersey. To jest policyjne państwo.

Titus: Kosztował nas 250 dolarów. (śmiech)

Litza: Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak świat wygląda. Mam rodzinę w Szwajcarii, która opowiadała mi, że tam po 22:00 nie możesz mieć otwartego okna i brać prysznic, bo jest za głośno. Sąsiedzi normalnie dzwonią i donoszą, że się kąpiesz w nocy. Na co dzień mówią „dzień dobry”, ale czują się w obowiązku, że muszą donieść. Mojemu wujkowi, który jest taryfciarzem, sprawdzali w samochodzie na komputerze prędkość z ostatnich 5 lat. Oni nawet na te dziury w serze muszą mieć regulę. Zjesz ser ze złymi dziurami – mandat. (śmiech) Naprawdę, my tu w Polsce mamy wolność.

Titus: A jak dasz mu w mordę za to, że donosi? (śmiech)

Litza: To masz wyrok dożywotni za usiłowanie zabójstwa.

Titus: Był kiedyś koncert Kata, ostatni z Romkiem Kostrzewskim. Rozmawiałem z chłopakami z Decapitated i Behemoth. Oni zwiedzili cały świat. Pytam: „Gdzie jest najlepiej robić gnój bez konsekwencji?”. Wszyscy zgodnie odpowiedzieli, że w Polsce. Więc po co ktoś ma się stąd ruszać?

Macie realne porównanie lat 90. i dzisiejszych. Wtedy dojrzewaliście, teraz macie ugruntowaną pozycję. Które czasy są lepsze dla muzyka rock and rollowego?

Titus: Jedne i drugie są fajne. Kiedyś było więcej improwizacji i spontanu. Dziś wszystko jest bardziej dopracowane. Bywały większe wyzwania, inne niż dziś. Pamiętam, jak kiedyś graliśmy koncert w klubie pod Płockiem. Wchodzimy do środka, a tam nie ma sceny. Zdziwieni wychodzimy na zewnątrz, a tam pełno towaru. Jakieś palety, deski. W czterdzieści minut zespół zrobił sobie scenę. I to było fajne, inne. Było to chyba w 99 roku. Ale teraz też jest fajnie. Publika nadal bawi się dobrze, młodzi wciąż chodzą na koncerty.

Litza: Ale należy podkreślić, że dla nas scenicznie aż tak mocno się nie zmieniło od lat 90. Nadal gramy bez symulatorów, odsłuchów w uszach itd. No i fajnie, że ci młodzi przychodzą tak tłumnie na koncerty, bo oni wyglądają jak my w latach 90. Długie pióra, skóry...

Titus: Jest odwrotnie niż kiedyś. Pamiętasz, jak mawiał Alice Cooper o metalu? Jest głośny i dynamiczny. Rodzice go nienawidzą. A pamiętaj – jeśli twoi rodzice czegoś nienawidzą, to znaczy, że to jest dobre.

Litza: Coś w tym jest. (śmiech) Synowie Titusa są rockowi, moi raczej nie. Ubierają się w sweter, porządne buty. Oni ubierają się tak, jak ja bym się przebrał. Inaczej z kolei wnuki. Noszą dredy, pytają, kiedy można robić tatuaż.

Czujecie więź z Poznaniem?

Titus: Tak. Ale ja jestem od 20 lat wieśniakiem. Teraz bywam w mieście może 10 razy w roku. Obserwuję, jak miasto się zmienia. Czasami nie poznaję miejsc. Ale wszystko idzie na plus.

Litza: Zdecydowanie. Choć miasto bardzo się zmienia. Ja mieszkałem 20 lat w Puszczykowie, do czego namówiła nas Gosia Ostrowska z mężem. Mimo że Puszczykowo jest piękne i wszystko tam się zgadza, to był trudny czas. Moja żona ma alergię i tam te wszystkie pyłki ją męczyły. Mnie z kolei dojazdy.

Titus: W Poznaniu zdrowy habas i zdrowe spaliny. Żadna alergja nie ma szans. (śmiech)

„Gdyby nie Turbo, nie istnielibyśmy jako zespół”. Podobno wiele im zawdzięczacie.

Titus: Dali nam swoje graty. Powiedzieli – „bierzcie, korzystajcie...”. W tamtych czasach po prostu swoich nie mieliśmy. Po 34 latach mieliśmy okazję odwdziżyć się i zaprosić ich na swoją trasę.

Litza: Jest też taki fakt historyczny, że oddali nam swój jeden opłacony dzień w studiu nagraniowym, gdzie nagraliśmy demo. Nasz materiał dostał śp. Tomasz Dziubiński, założyciel Metal Mind Productions, który zrobiliśmy w jeden dzień. Trzy utwory z mikсами i wokalami. No, nie brzmieliśmy jak zespoły z jego stajni typu Stos czy Dragon. Było to inne, dziwne dla niego. Jednak zaproponował nam nagranie całej płyty. Także korzystając z tego jednego dnia próbnego, finalnie nagraliśmy płytę w Anglii.

Polcacie jakieś wyróżniające się projekty muzyczne z Poznania?

Titus: False Experience. Grają coś pomiędzy hard rockiem a glam. Widziałem kilka razy – wow, that’s fucking rock’n’roll, yeah.

Litza: Ja z kolei polecam Natura 2000 i Barek. Jest też taka świetna agencja z Poznania Winiary Bookings, która robi koncerty takie, że ja chcę na nie chodzić.

Jakie plany tegoroczne poza wspomnianą Rockowizną?

Litza: Na ten moment Jarocin, Cieszanów, Męskie Granie. Zapraszamy.

Na koniec powiedzcie, co z materiałem na nową płytę?

Titus: Nie ma. Ale na koniec mogę powiedzieć, że coś mi świta i kielkuje. To musi być iskra w żołądku i pasja. Musi być



tak, że patrzysz na to i chce ci się rzygać. A jak chce się rzygać, to wyrzegasz dobry tekst.

Litza: Ja jestem ciekaw, co w ogóle by z tego wyszło. Bo Popcorn to teraz taki Keith Richards, ja z kolei mocno hardcore’owy i deathcore’owy jestem. Ale na pewno, jak coś zrobimy, to nikt się o tym nie dowie. Zrobimy to z zaskoczenia.

Titus: Wyszedłby straszliwy wpierdol, czyli takie typowe Acid Drinkers. (śmiech)



„Kropka, którą wreszcie postawiliśmy, jest solidna”

Bibobit

Rozmawiał: **Dawid Balcerek**

Zdjęcia: **Lula Shots**

**Ostatni raz osobiście spotkaliśmy się przy okazji ich debiutanckiej płyty *Podróżnik*, która uka-
zała się prawie dekadę temu. Przez ten czas wydali koncept album *Bibobit/Osiecka*, a w zespole
zaszły również zmiany personalne – do chłopaków dołączył Adam Lemańczyk. Pod koniec ze-
szłego roku wydali swój trzeci longplay pt. *Wdech*. To świetna okazja, żeby porozmawiać, nie
tylko o nowej płycie, ale i drodze jaką przeszedł przez ten czas zespół, czy o kondycji polskiego
jazzu. Zapraszam do rozmowy z wokalistą i liderem Bibobitu, Danielem Moszczyńskim.**

Ostatnią płytę *Co to za czas* wydaliście aż 4 lata temu. Dlaczego tak długo kazaliście czekać słuchaczom na nowy album?

Przede wszystkim wpłynęła na to sytuacja związana z naszym udziałem w festiwalu „Pamiętajmy o Osieckiej”. Zmieniło to nieco naszą muzyczną optykę, chociaż nad autorskim materiałem pracowaliśmy już wcześniej. Jesteśmy jednak ludźmi, którzy uwielbiają cyzelować i dopieszczać każdy, najdrobniejszy detal. Przez to proces powstawania płyty przypominał momentami słoniową ciążę. Bywam perfekcjonistą, bardzo zależy mi na uchwyceniu odpowiedniego klimatu, a mój wewnętrzny krytyk rzadko pozwala mi odpuścić.

Niemniej jednak, patrząc z perspektywy całego zespołu, uważam, że ten czteroletni czas to po prostu precyzyjny zapis konkretnego momentu w naszym życiu. Kropka, którą wreszcie postawiliśmy, jest bardzo solidna.

W międzyczasie dołączył do Was Adam. Miało to duży wpływ na Waszą pracę?

Ten album jest nam niezmiernie bliski stylistycznie. Czuć też na nim zmiany, które są bezpośrednią konsekwencją dołączenia do składu Adama Lemańczyka. On nas w pewnym sensie na nowo zdefiniował, wprowadził wrażliwość, na którą byliśmy bardzo otwarci, a której sami nie potrafiliśmy z siebie w pełni wydobyć.

Rola Adama w zespole jest nieoceniona – zajął się aranżacją połowy płyty, pod kątem instrumentów dętych i kwartetów smyczkowych na albumie *Bibobit/Osiecka*. To wybitnie zdolny człowiek i jestem pewien, że świat usłyszy o nim jeszcze nie raz.

W piosence „Mojszość” dotykasz ważnego i niestety, wciąż aktualnego problemu, jakim jest wszechobecny hejt. Uważasz, że ludzie w dzisiejszym świecie są w ogóle zdolni do głębszej refleksji na ten temat, czy to po prostu walka z wiatrakami?

Myślę, że to przede wszystkim kwestia dojrzałości i zdenerowania z trudnymi życiowymi sytuacjami, które wrzucają nas w sam środek tego kotła nienawiści. Zapewne każdemu z nas zdarzyło się kogoś skrytykować lub zhejtować. Prawdziwym dowodem ludzkiej ewolucji jest to, by starać się zrozumieć osoby, które mają zupełnie odmienne zdanie.

Nie znaczy to wcale, że mamy rezygnować z własnych poglądów. Sukces polega na tym, by dwoje ludzi ze skrajnie różnych środowisk światopoglądowych potrafiło usiąść naprzeciwko siebie, nie skacząc sobie do gardeł. Kiedy umiemy się nawzajem wysłuchać, następuje prawdziwy rozwój. Możemy nie przyznać komuś racji, ale kluczem jest chęć poznania czужej perspektywy, zrozumienia bez konieczności zgadzania się z nią. A jeśli mimo to staniemy się ofiarą ataku – najważniejszą zasadą jest to, by nie wkręcać się dalej w tę spiralę nienawiści.

Chciałbym zapytać o utwór „Wilk”, który wyraźnie wyróżnia się na Spotify – ma już setki tysięcy odtworzeń. Gościnnie pojawia się w nim Kuba Badach. Jaka jest historia tej współpracy?

To historia, która swój początek ma na trasie koncertowej. Poznaliśmy się podczas wspólnych występów z fenomenalną szwedzką formacją Dirty Loops, gdzie graliśmy razem z Poluzjantami. Podczas tej trasy Kuba otwarcie przyznał na scenie,



że cieszy go widok kapel, które bardzo dobrze grają. Powtórzył to podczas trasy jeszcze kilka razy...

I tak z koncertu na koncert zaczęła się pojawiać między nami taka kumpelska nić porozumienia. Jakiś czas później spotkaliśmy się na pierwszej edycji festiwalu Jazz Around, który odbywał się wtedy w pięknych okolicznościach zamku w Mosznej. Zgadaliśmy się na afterparty i zapytałem go o ewentualną współpracę. Zgodził się, więc po kilku miesiącach wysłałem mu kawałek „Siła Słów”. Kuba odpowiedział szybko, docenił numer, ale szczerze przyznał: „nie wiem, czy się tu zmieszczę, narzuciłeś już bardzo konkretną linię melodyczną”. Dało mi to do myślenia. Kiedy umawialiśmy się na sesję nagraniową w poznańskim Studio Splendor i Sława u Młodego Górnego, miałem w zanadru właśnie „Wilka”. Kiedy Kuba wszedł do studia i zaśpiewał swoje partie, od razu wiedzieliśmy, że to jest to! Pierwszy numer – Siła Słów oczywiście także wyszedł świetnie w jego wydaniu – z czego bardzo się cieszę. To dla mnie bardzo ważne wydarzenie, bo swego czasu Poluzjanci byli dla mnie ogromną muzyczną inspiracją.

Na albumie jest dużo nawiązań do natury, a gdybyś Ty miał określić swój charakter sceniczny jednym z żywiołów, to który byś wybrał i dlaczego?

Zdecydowanie jestem wiatrem. Ten żywioł ma w sobie ogromną nieuchwytność i ja na scenie zachowuję się podobnie – wprowadzam się w pewien rodzaj transu. Na co dzień staram się być zrównoważonym człowiekiem, ale scena uruchamia we mnie energię, nad którą nie do końca panuję. Czasem, schodząc po koncercie, sam zadaję sobie pytanie: co ja tam właściwie robiłem? (śmiech)

Nastała moda na polski jazz. Widać to na festiwalach czy w poznańskim klubie Blue Note, gdzie pojawia się coraz więcej młodych kapel i ludzi. Myślisz, że ten gatunek ma szansę przebić się do szerszego nurtu?

Zdecydowanie tak. Uważam, że granie muzyki na żywo, a zwłaszcza wchodzenie w struktury jazzowe czy funkowe, ma w sobie coś niezwykle magnetycznego. Kiedy zderzasz się z tym na koncercie, to po prostu działa. Nawet ktoś, komu te klimaty są na co dzień obce, doceni kunszt muzyków i ich charyzmę.

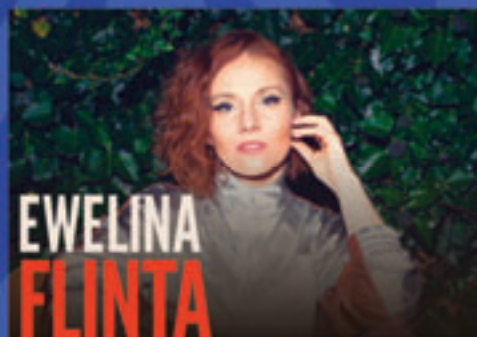
W jazzie fascynujący jest element improwizacji. Każdy koncert jest unikalny, bo nigdy nie wiesz do końca, co się wydarzy. Nawet my na scenie, potrafimy nawzajem się zaskoczyć. Tworzy się specyficzna energia – to działa tu i teraz. Myślę, że muzyka improwizowana stoi dziś przed podobną szansą, jaką miał kiedyś hip-hop, który wyrósł na gruncie buntu i potrzeby świeżego wyrazu. Młodzi, wrażliwi słuchacze szukają dziś właśnie takich organicznych, nieprzewidywalnych bodźców. Przed nami bardzo ciekawe czasy pod tym względem.

Zbliża się okres plenerowy. Gdzie w najbliższym czasie będzie można usłyszeć Bibobit na żywo?

Z planów mogę na pewno zaprosić na klimatyczny Edison Festival pod Poznaniem, nad jeziorem Kierskim. Tam na pewno namieszamy! Wszystkie szczegółowe terminy na bieżąco publikujemy w naszych mediach społecznościowych i na stronie Bibobit.com. Więc mam nadzieję, że widzimy i słyszymy się pod sceną zapraszamy!!!

ENE EDISON FESTIVAL

3-4 LIPCA
2026
POZNAŃ BARANOWO



WIĘCEJ JUŻ WKRÓTCE...

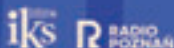
ORGANIZATOR

SPONSOR
TYTUŁARNY

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

GOOD TASTE!



BILETY DOSTĘPNE NA
WWW.ENEAEIDISONFESTIVAL.PL



Fot. Maciej Chomik

Co potrafi zdziałać jazz

3. edycja Blue Summer Jazz Festival

Tekst: Julia Lipowicz

Przez cały rok z niecierpliwością wyczekujemy nadchodzących letnich festiwali, a jednym z najbardziej niezwykłych i unikatowych jest Blue Summer Jazz Festival. W tym roku odbędzie się 3. edycja tego wydarzenia, drugi raz z rzędu organizowanego przez Blue Note w parku Starego Browaru. Już 18 i 19 lipca usłyszymy na żywo jazz światowej klasy prosto z Londynu, Nowego Jorku czy Japonii. Ten festiwal to nie tylko jazz, ale też niesztampowe spojrzenie na muzykę, zaproszenie słuchaczy do zabawy dźwiękiem oraz mieszanie gatunków – na scenie wystąpią artyści, którym w duszach gra jazz, soul i funk w pełnej symbiozie. Blue Summer Jazz Festival to także okazja do spędzenia czasu na świeżym powietrzu i w piknikowej atmosferze w samym sercu Poznania.

Lato to moment oddechu i letnia przerwa w klubowym kalendarium Blue Note. Choć drzwi do klubu oficjalnie się zamykają, nie oznacza to, że w Poznaniu nie będzie słyhać wtedy jazzu! W końcu lipiec to pora kolejnej edycji Blue Summer Jazz Festival. Ten event to idealne połączenie kameralności klubu jazzowego i piknikowego klimatu ciepłego wakacyjnego wieczoru, a to wszystko wśród szumu drzew w parku Starego Browaru.

Do Poznania zawitają muzycy z całego świata, a dla publiczności będzie to świetna sposobność, by poznać, to co nowe – odkryć nowych artystów i posłuchać utworów, które staną się ulubionymi na lata. W tym roku podczas festiwalu usłyszymy zarówno mocno energiczny jazz, jak i bardziej kojące dźwięki. Ten weekend będzie świetną okazją do wytańczenia się przy jazzie pod sceną lub zdala, na wzgórzu, jakby jutra miało nie być. Można też piknikować w gronie bliskich lub solo, położyć się na trawie, zamknąć oczy i wsłuchać w dźwięki jazzu.

Jazz, soul i funk fusion

W ciągu dwóch dni festiwalu usłyszymy zarówno kojące, delikatne dźwięki, jak i pełne energii, żywe utwory. Podczas dwóch dni będą towarzyszyć nam jazzowe dźwięki Londynu, Nowego Jorku czy Japonii, a zaproszeni muzycy wytworzą nieoczywiste

brzmienia, które będą miksem gatunków i własną interpretacją wolności w muzyce.

Kogo konkretnie usłyszymy podczas lipcowego weekendu, 18 i 19 lipca? W sobotę na scenie zobaczymy Sama Greenfielda – saksofonistę z Brooklynu, który z luzem i humorem łączy jazz i funk z popowym groove. Sam współpracował z artystami, takimi jak Ed Sheeran, John Legend, Mariah Carey czy Joss Stone – i to słyhać i czuć podczas jego live'ów!

Dla fanów spokojnych, otulających dźwięków z pewnością ciekawy będzie występ nominowanej do nagrody Grammy Gretchen Parlato – wokalistki, która od lat buduje własny jazzowy język – operując ciszą, detalem i rytmem; podczas Blue Summer Jazz Festival zaprezentuje nowy materiał nagrany z kwartetem oraz Alanem Hamptonem – muzykiem, z którym łączy ją ponad 20 lat wspólnej drogi.

Na koniec sobotniego wieczoru na scenie pojawi się energetyczna fala muzyki w postaci londyńskiego kolektywu Nubian Twist. To dziewięcioosobowy big band, który podbił serca stolicy Anglii hiphopowo-jazzowymi dźwiękami z domieszką afro beatu i soulu. Muzycy ci swobodnie żonglują wpływami z całego świata, łącząc je z brytyjską finezją jazzową i napędzając wszystko zwartą, dynamiczną sekcją rytmiczną oraz głębokim, hipnotycznym groove. Czujecie się zaintry-



gowani? I słusznie! Dziś Nubiyán Twist to jeden z najmocniejszych live'owych składów w Wielkiej Brytanii – z licznymi nominacjami do nagród, wyprzedanymi trasami i świetnymi recenzjami m.in. w magazynach Rolling Stone czy Jazzwise. Tego nie można przeoczyć!

Atrakcyjna i melodyjna będzie też festiwalowa niedziela, w końcu w line-upie BSJF nie może zabraknąć absolutnej gwiazdy sceny Blue Note, która oczarowała słuchaczy także podczas poprzednich edycji festiwalu. Blue Jazz Orchestra – bo o tej formacji mowa – to ulubieniec publiki i big-band z prawdziwego zdarzenia, tworzony przez czołowych muzyków poznańskiej sceny, który można usłyszeć regularnie na scenie Blue Note. W lipcu zespół zagra koncert poświęcony twórczości jednego z najbardziej lirycznych i oryginalnych głosów w historii jazzu – Kenny'ego Wheelera. Do orkiestry dołączają: wokalistka Anna Gadt oraz trębacz Jerzy Małek, jeden z najważniejszych polskich instrumentalistów jazzowych.

Międzynarodową obsadę festiwalu uświetni Ledisi, wokalistka łącząca soul, r&b i jazz, a także zdobywczyni nagrody Grammy. Od ponad dwóch dekad Ledisi to prawdziwa girl boss

jazzu – nie tylko zachwyca siłą głosu i sceniczną charyzmą, lecz jest także songwriterką, producentką, aktorką, wykładowczynią i szefową własnych projektów wydawniczych. Podczas BSJF usłyszymy m.in. jej najnowszy projekt „For Dinah” – to mocny, osobisty hołd dla Dinah Washington – ikony, która ukształtowała kolejne pokolenia wokalistek.

Wisienką na torcie, jednocześnie zamykającą cały festiwalowy weekend, będzie pochodząca z Japonii Hiromi – laureatka Grammy i jedna z najbardziej wyrazistych pianistek współczesnego jazzu. Hiromi urzekła publiczność na całym świecie m.in. występami w cyklu „Tiny Desk Concert” oraz podczas Igrzysk Olimpijskich w Tokio. Formacja Hiromi's Sonicwonder to brzmienie na styku jazz-rockowej fuzji, funku, muzyki klasycznej i nowoczesnego jazzu, które będzie energiczną kulminacją tego dwudniowego święta jazzu.

Dźwięki poza schematami

Blue Summer Jazz Festival to coroczna okazja dla klubu Blue Note do działań out of the box – wyjścia poza klasyczne ramy i przeniesienia przydymionej sceny na świeże powietrze, wśród drzew i do szerszej publiczności. Na nadchodzącą edycję festi-



walu zaprasza manager klubu Blue Note, Tomek Rassek: – Blue Summer Jazz Festival to dla nas jeden z najważniejszych momentów w roku, kiedy wychodzimy z klubu i zapraszamy publiczność w zupełnie inne okoliczności niż przez pozostałe 363 dni w roku. Tym bardziej cieszy nas, że po raz drugi spotkamy się w Parku Starego Browaru – rok temu to miejsce zadziało znakomicie!

Przy wyborze artystów Blue Note kierował się przede wszystkim jakością i spójnością line-up'u – priorytetem było to, by pokazać jazz jako żywy, współczesny język. – Dlatego obok siebie są artyści z różnych światów, jak Ledisi na styku soulu i R&B, Nubiyán Twist z energią brytyjskiej sceny czy Sam Greenfield łączący jazz z funkiem i popem. Z jednej strony mamy wirtuozerię i żywiołowość Hiromi, z drugiej – bardziej intymną, hipnotyczną wrażliwość Gretchen Parlato. Do tego dochodzi Blue Jazz Orchestra, która wnosi lokalny kontekst. W tym roku zależało nam też na tym, żeby pokazać, że do tej muzyki można się ruszać, tańczyć, po prostu dobrze bawić – i mamy nadzieję, że właśnie taka energia pojawi się w lipcu w Parku Starego Browaru – mówi Tomek Rassek.

Poprzednie edycje Blue Summer Jazz Festival pokazały, że fenomen tego wydarzenia oczarował poznaniaków – jazzowy koncert w parku podczas letniego wieczoru jest jednym z przyjemniejszych wspomnień wakacyjnych w Poznaniu.

O kolejnej już współpracy Blue Note ze Starym Browarem mówi także Joanna Tupalska, Dyrektor Marketingu Starego Browaru: – Stary Browar przez cały rok oddycha sztuką. Latem areną wydarzeń kulturalnych jest także nasz Park. Poprzednia odsłona Blue Summer Jazz Festival pokazała, że jazz, zieleń, miasto i lato to magiczna mieszanka – z entuzjazmem po raz drugi dołączamy do festiwalu stworzonego przez Blue Note jako partner i gospodarz koncertów.

Harmonogram koncertów

18.07 – Sam Greenfield/Gretchen Parlato/Nubiyán Twist

19.07 – Blue Jazz Orchestra/Ledisi/Hiromi's Sonicwonder

Karnety i bilety na www.bluesummerjazz.pl



Na zdjęciu: Anna Gadt



Na zdjęciu: Gretchen Parlato

O języku sztuki

**Maria Magdalena
Kwiatkiewicz**

o Muzeum Biżuterii MoJA

Rozmawiała: **Karolina Sierszulska**

Zdjęcia: **archiwum muzeum**

W Poznaniu od lutego możemy odwiedzać nowe miejsce. Galeria YES funkcjonująca od 1998 roku przy ulicy Paderewskiego 7, przekształca się w Muzeum MoJA, z nowym adresem przy ulicy 27 Grudnia 17/19. W nim czekają trzy strefy: przestrzeń sprzedażowa, wystawiennicza z najnowszą wystawą czasową, warsztatami i wydarzeniami towarzyszącymi oraz biletowana przestrzeń ekspozycji stałej, w której będziecie mogli podziwiać współczesną polską sztukę złotniczą oraz biżuterię rdzennych społeczności z całego świata. Poznajcie bliżej pomysłodawczynię i założycielkę Muzeum Biżuterii MoJA, podróżniczkę, fotografkę, mecenaszkę sztuki – Marię Magdalenę Kwiatkiewicz. Od czego zaczęła się jej podróż w głąb sztuki, czym są dla niej podróże i co myśli o współczesnym złotnictwie opowiada w naszym wywiadzie.

Witamy na mapie Poznania Muzeum Biżuterii MoJA! Nowa przestrzeń, inna forma. Dlaczego taka zmiana?

To naturalna ewolucja mojej pasji. Od prawie trzech dekad gromadzę dzieła współczesnej polskiej sztuki złotniczej i wciąż czułam, że ich ogromny potencjał czeka na pełne odkrycie. Nadszedł czas, by uwolnić te niezwykle obiekty i oddać je wprost do odbiorców. Zależało mi jednak na czymś więcej niż

tylko zachwycie nad formą, dlatego w nowej przestrzeni piękno biżuterii jest obudowane eksperckim komentarzem i rzetelnym merytorycznym tłem, na które ta sztuka po prostu zasługuje.

Co czeka na zwiedzających w nowym miejscu?

W nowym miejscu skupiamy się na roli przewodnika po świecie znaczeń. Naszym głównym zadaniem jest wyposażenie zwiedzających w narzędzia do samodzielnego rozkodowania sztuki złotniczej. Poprzez edukację pokazujemy, że biżuteria to precyzyjny język wyrazu, medium, za pomocą którego artyści manifestują swój światopogląd, a często również wchodzi w dialog z wydarzeniami społeczno-politycznymi. Chcemy, aby każdy gość, kończąc wizytę, potrafił samodzielnie dostrzec istotę i intencję zapisaną w metalu czy kamieniu

Pani kolekcja aktualnie wynosi ponad 2500 obiektów. Gdzie to wszystko się zaczęło?

Myślę, że początków tej drogi należy szukać w moich młodościowych marzeniach o historii sztuki. Choć życie skierowało mnie na Politechnikę Poznańską, świat biżuterii szybko upomniał się o moją uwagę, stając się przestrzenią zawodową, którą od 1981 roku budowaliśmy wspólnie z mężem i bratem w ramach firmy YES Biżuteria.

Przełom nastąpił jednak w 1998 roku, gdy powołałam do życia Galerię YES. To tam, a szczególnie podczas legnickiej wystawy "Amulety", doświadczyłam swego rodzaju olśnienia. Zobaczyłam, że biżuteria to małe formy rzeźbiarskie o niezwykle głębokiej warstwie narracyjnej. Ta zdolność biżuterii do opowiadania osobliwych historii sprawiła, że przepadłam. Przez lata Galeria przy Paderewskiego 7 w Poznaniu była domem dla tej pasji, a dziś, z zasobem ponad 2500 obiektów, staje się fundamentem muzeum.

Pamięta Pani swój pierwszy eksponat?

Pamiętam go doskonale, ponieważ to spotkanie zdefiniowało moją drogę jako kolekcjonerki. Wszystko zaczęło się od bransolety profesora Andrzeja Bossa, przygotowanej na legnicki konkurs "Amulety" w 1998 roku. Kontrast użytych w niej kamieni polnych z polerowanym srebrem natychmiast do



Design i rzemiosło. Strefa polskiej biżuterii w Muzeum MoJA

mnie przemówił. Dostrzegłam w niej równowagę między naturą a kulturą.

Początkowo chciałam, aby towarzyszyła mi osobiście w ważnych chwilach, ale jej ciężar sprawił, że noszenie jej stało się wyzwaniem. Wtedy, po pięciu latach, Andrzej Boss stworzył dla mnie drugą wersję – tym razem z bursztynów, pełną słońca i ciepła. Choć obie są dla mnie niezwykle ważne, to właśnie ta pierwsza, z kamieniami polnymi, pozostaje symbolem narodzin mojej kolekcji. To ona nauczyła mnie, że biżuteria może być nośnikiem intymnej historii, która z czasem nabiera coraz głębszych znaczeń

Na swojej stronie napisała Pani: „Mój aparat szuka opowieści, nie widoków”. Idąc tym tropem, jakich opowieści dostarcza nam biżuteria, którą przywozi Pani z podróży?

Podróżowanie to dla mnie przede wszystkim spotkanie. Choć zachwyam się naturą, to rzeczywiście mój aparat, a wraz

z nim ja sama, szuka opowieści zapisanych w twarzach, gestach i codzienności rdzennych społeczności. Widoki są tłem, ale to ludzie tworzą tę najciekawszą, wielowarstwową panoramę świata.

Biżuteria świata, którą przywożę z wypraw, jest naturalnym przedłużeniem tych fotograficznych zapisków. To zmaturalizowane wspomnienia i relacje. Kiedy patrzę na naszyjnik wykonany przez lokalnego rzemieślnika, słyszę język danej kultury, widzę dłonie, które go stworzyły i czuję emocje towarzyszące tamtej chwili. W Muzeum MoJA te obiekty pełnią rolę ambasadorów świata. Pozwalają nam zrozumieć, że niezależnie od szerokości geograficznej, biżuteria zawsze była i pozostaje uniwersalnym sposobem opowiadania o tym, kim jesteśmy i w co wierzymy.

Do jakich miejsc na świecie wraca Pani myślami z największym sentymentem?

W zasadzie mogłabym wrócić do każdego z ponad stu krajów, które odwiedziłam. Wiele z nich, jak Nepal, Tybet, Uzbekistan czy Kolumbia, ma w sobie magnetyzm, który przyciągał mnie wielokrotnie. Podróże nie mają przecież kresu. Zawsze pozostaje do odkrycia kolejna warstwa obyczajowości czy nieznaną dotąd odcień ludzkich osobowości.

Co ciekawe, najmocniej tęsknię jednak nie za konkretnym miejscem, a za kadrami, których... nie zdążyłam wykonać. Często powracają do mnie w snach ujęcia, których z jakiegoś powodu nie uwieczniłam na fotografii. To poczucie niedosytu jest dla mnie siłą napędową zarówno w podróży, jak i w kolekcjonerstwie. Przypomina mi, że zawsze warto szukać dalej, patrzeć uważniej i doceniać te chwile, w których udaje się uchwycić istotę człowieka.

Czy jest jeszcze jakiś zakątek świata, z którego chciałaby Pani przywieźć biżuterię?

Lista miejsc, które budzą moją ciekawość, jest wciąż długa, a moim wielkim marzeniem jest jeszcze wnikliwsze poznanie serca Amazonii oraz społeczności żyjących tam w symbiozie z naturą. Jednak plany te traktuję z ogromną delikatnością i świadomością odpowiedzialności, jaka wiąże się z dotykaniem świata rdzennych kultur.

W MoJA odcinamy się od postrzegania biżuterii przez pryzmat egzotyki czy kolonialnego zbieractwa. Myślę o Amazonii jak o możliwości bycia świadkiem kultury. Dlatego staram się, by biżuteria w moich zbiorach nigdy nie była anonimowa; zawsze szukam człowieka, który stoi za daną formą.

Czy rodzime, ludowe rzemiosło zachwyca Panią tak samo, jak to z dalekich zakątków świata?

To dwa zupełnie odmienne światy i inne systemy wartości, dlatego nie sposób postawić między nimi znaku równości. Rodzime rzemiosło i polska sztuka złotnicza to zapis naszej tożsamości, historii i ewolucji estetycznej, którą dokumentuję od 1945 roku. Z kolei biżuteria świata jest w mojej opinii lekcją innej wrażliwości i świadectwem odmiennych kodów kulturowych.

Mimo tych różnic, obie te dziedziny łączy jeden, najważniejszy fundament: w ich centrum zawsze stoi człowiek. Bez względu na to, czy patrzę na miedziane konstrukcje z okresu PRL-u, czy na obrzędowy naszyjnik z serca Amazonii, widzę przede wszystkim zapis ludzkich emocji, potrzebę komunikacji i chęć utrwalenia czegoś ważnego dla danej społeczności. To właśnie ta wspólna płaszczyzna biżuterii jako uniwersalnego i zmaterializowanego języka kultury, jest tym, co zachwyca mnie najbardziej i co chcę eksponować w Muzeum MoJA.

Jakich wydarzeń możemy spodziewać się w przyszłości w Muzeum? Na co warto czekać?

Przyszłość Muzeum MoJA to przede wszystkim przejście od statycznej ekspozycji do żywego centrum dialogu i edukacji. Chcemy, aby to miejsce stało się azylem dla artystycznej wrażliwości, dlatego planujemy szeroki program interaktywnych warsztatów złotniczych i projektowych. Zależy mi, aby nasi goście, od najmłodszych po ekspertów, mogli poznać dzieła, zrozumieć proces ich powstawania, a niekiedy nawet spróbować własnych sił w pracy z materiałem.

Nie rezygnujemy oczywiście z moich ukochanych podróży – będziemy kontynuować wystawy fotograficzne, które osadzają biżuterię w jej naturalnym, kulturowym kontekście. Przygo-



Sztuka zaangażowana. Maria Magdalena Kwiatkiewicz z ikonicznymi broszkami Joachima Sokólskiego

tujemy również wystawy czasowe, które będą podejmować odważne, krytyczne dyskusje na temat biżuterii jako medium komentującego współczesną rzeczywistość.

Krótko mówiąc: czekamy na moment, w którym MoJA stanie się przestrzenią, gdzie biżuteria zostanie ostatecznie odczarowana i rozumiana jako pełnoprawny, fascynujący język sztuki.

Nie pozostaje nam nic innego, jak zaprosić Was w to, co nieznanne i odległe, a co zostało zamknięte w dziełach ludzkich rąk: biżuterii, fotografiach i sztuce rdzennych kultur całego świata.

Cały wywiad na www.freshmag.pl



Spódnica Solmé (Pasaż +1), koszulka Nike (Atrium +2), buty i torebka – własność stylistki



Wiosna, miasto, moda

Zrzucamy zimowe kokony, ulica zmienia się w wybieg. Wiosna w modzie to sezon wolności, awangardy i rozmachu.

Stylizacje, modelka: **Monika Biąta**


Zdjęcia: **Paweł Lewandowski**

Materiał promocyjny Starego Browaru

Płaszcz Weekend Max Mara (Pasaż +1),
okulary Design Optyk (Pasaż +1),
kolczyki Zara (Atrium 0)

Spodnie MUUV (Pasaż +1), kurtka La Mania (Pasaż +1), okulary Design Optyk (Pasaż +1), buty – własność stylistki



A woman with blue eyes is lying on her side on a grassy field. She is wearing a dark blue Nike hoodie with a graphic of a basketball player in a white jersey with the number 23, and the words 'AUTHENTIC' and 'WORLD WIDE' printed on it. She is also wearing a white feathered skirt. Her right hand is resting on her forehead, and her left hand is on the ground.

Bluza Nike (Atrium +2),
kołnier z piór jako spódnica Ochnik (Atrium +2)

**Wszystkie ubrania i akcesoria
dostępne są w sklepach
w Starym Browarze**

Wyniesiona na ołtarze

O piekle Sinéad O'Connor.

Rozmowa z aktorką Weroniką Asińską

Rozmawia: Karolina Sierszulska

Zdjęcie: Jakub Wittchen



[...]

Dopóki podstawowe prawa człowieka

*Będą jednakowo gwarantowane
dla wszystkich*

Bez względu na rasę

Mówię „wojna”

[...]

Wojna na wschodzie

Wojna na zachodzie

Wojna na północy

Wojna na południu

To jest wojna

I hałas wojny

To fragment piosenki „War” Sinead O’Connor. Tak, to zaraz po jej wykonaniu podarła ona zdjęcie Papieża Jana Pawła II. Jej słowa były i są komentarzem do tego, co dzieje się na świecie. Wciąż i wciąż, niestety, aktualne. Najnowszy spektakl „Diabeł i dziewczyna” w Teatrze Nowym w Poznaniu również opowiada o naszej rzeczywistości. To poruszające widowisko, głośne i błyszczące, trudne i pełen humoru. Utrzymane w dobrze znanej estetyce i konwencji reżysera, Marcina Libery. Zobaczycie blichtr i upadek Kościoła, upokorzenie i wyniesienie na ołtarze Sinéad O’Connor. Będzie śpiew i krzyk, gniew i miłosierdzie. Więcej o spektaklu opowiedziała mi aktorka Weronika Asińska, która zagrała rolę irlandzkiej piosenkarki. Zapraszam Was do lektury, a w drugiej połowie kwietnia i w maju do Teatru Nowego!

Na swoim profilu na Instagramie napisałaś, że to zaszczyt zagrać Sinéad. Co czułaś ubierając się w tę postać? Nie miałaś obaw? Mam wrażenie, że wśród ludzi Sinéad nadal wzbudza lęk.

Tak, parę razy nawet spotkałam się ze stwierdzeniem „A, tę wariatkę grasz!”. Budził się we mnie wewnętrzny sprzeciw. Ktoś, kto jako pierwszy wypowiada trudną prawdę, zawsze naraża się na ostracyzm. W dzisiejszym świecie brakuje takich „wariatów”, choć sama nie wiem, czy dzisiaj większym wariatem jest ten, kto „głosi” coś kontrowersyjnego, czy ten, kto milczy. Od dawna ceniłam twórczość Sinéad O’Connor. Nawet nie marzyłam o tym, że będę miała możliwość ją zagrać. To jest dla mnie wielkie wyróżnienie i ogromne wyzwanie. Miałam jedynie obawy czy podołam. Nie miałam wątpliwości „moralnych”.

Znałaś jej historię wcześniej, czy poznałaś bliżej dopiero podczas pracy nad spektaklem?

Znałam twórczość Sinéad, nie wiedziałam jednak o niej wielu rzeczy. W trakcie pracy dowiedziałam się, że była maltretowana przez matkę. Od razu zrozumiałam, że jest to ogromny punkt wyjścia do stworzenia tej postaci, bo to ją bardzo definiowało. Determinowało wszystko, co robiła. Czyniła to dla matki i po to, by zasłużyć na jej miłość. Do powszechnego obiegu tra-



fot. Jakub Wittchen

fiła informacja, że Sinéad cierpiała na chorobę dwubiegunową. Kiedy Sinéad powiedziała lekarzowi, który ją diagnozował, że nie wie co się z nią dzieje, że drzewa przestały być piękne i stały się potencjalnym obiektem, na którym można się powiesić, on obdzwonił wszystkich prominentów, informując, że siedząca u niego słynna artystka Sinéad O'Connor ma coś nie tak z głową. Rzucił hasło „borderline” i to już do niej przyłgnęło. Najprawdopodobniej była to głęboka depresja i PTSD, spowodowane doświadczeniami z dzieciństwa.

Co było najtrudniejsze w pracy nad tą rolą? Czy był moment, kiedy poczułaś, że musisz nieco się zdystansować? A może odwrotnie, że trzeba iść na całość?

Najtrudniejsze było dla mnie to, żeby z jak największą czułością i szacunkiem podejść do historii Sinéad. Prowadziło mnie wypowiedziane przez nią zdanie, by „mieć odwagę być sobą”. Ogromny wpływ miała również jej pierwsza płyta „The lion and the Cobra”, zapętłana przeze mnie w kółko w trakcie prób. Czułam, że na tej płycie Sinéad O'Connor jest nieocenzurowana, pełna wszystkiego, co przeżyła. Z całym smutkiem, gniewem, który nie został jeszcze ukojony i z którym dopiero później nauczyła się żyć.

Jak wspólnie, z innymi aktorami, pracowało Wam się nad tym spektaklem? Pomimo tego, że w spektaklu nie brakuje humoru, temat, który porusza, jest bardzo trudny.

Mogę mówić za siebie, choć mam pewne podejrzenia, że była to jedna z lepszych wspólnych przygód dla nas wszystkich. Często trudne tematy powodują, że aktorzy jednoczą się w pracy albo mają silne poczucie sensu. Wówczas przekłada się to także na sposób pracy i stopień zaangażowania każdego z nas. I tak było w tym przypadku.

Jeśli się nie mylę, to Twój pierwszy spektakl we współpracy z reżyserem Marcinem Liberem. Jak Wam się pracowało?

Tak, z Marcinem Liberem pracowałam po raz pierwszy. Jak wspomniałaś, temat nie należał do najłatwiejszych, więc gdyby ktoś inny był za sterami tego okrętu, mogłoby być różnie. Ale był to Marcin, wódz z prawdziwego zdarzenia, reżyser bardzo doświadczony, co dało się odczuć. Bił od niego niesamowity spokój, pewność, że dokąds dopłyniemy. Nie było więc możliwości, żeby się w tym procesie pogubić. Jako że pracowaliśmy razem pierwszy raz, byłam dość mocno skupiona na odkrywaniu jego wizji, jego stylu, jego konwencji. Marcin dużo czerpał z nas, z tego, co proponujemy. Rzeczy pozornie bezsensowne wywlekał na wierzch, żeby się im przyjrzeć i sprawdzić, czy rzeczywiście nie mają sensu. Zazwyczaj okazywało się, że mają całe mnóstwo sensu. Nie oceniał, nie bałam przy nim skompromitować. Oprócz rzemiosła, klasy i humoru, które wnosił na próby, okazał się być po prostu super człowiekiem.

**Świetnie oglądało się na scenie styl i estetykę reżysera, wi-
doczną np. w strojach. Opowiesz o nich coś więcej?**

Za scenografię i kostiumy odpowiedzialni są Mirek Kaczmarek i Maria Mordarska, o której warto wspomnieć w szczególności, ponieważ Maria jest na początku zawodowej drogi. Patrząc na kostiumy, scenografię i sposób pracy z aktorami, ciężko w to uwierzyć. Jest dużo, kolorowo, pięknie, efektownie, z rozmachem. Cały ten sceniczny świat jest osadzony w jakiejś sferze absurdu, która jednak nie jest – lub nie była – fikcją, co sprawia, że ten kontrast boli podwójnie.



Co czujesz, gdy melodyjnie wykrzykujesz słowa piosenki „War”?

Za każdym razem zastanawiam się, czy te słowa przestaną być kiedyś aktualne. Może mam nieduży wpływ na to, czy gdzieś wybuchnie wojna, czy nie, ale na małe wojny w moim środowisku już tak. Myślę, żeby reagować na przemoc wobec dzieci. To mnie chyba najbardziej boli. A przemocą jest nie tylko bicie, czy maltretowanie, którego doświadczyła Sinéad. Ale też zamykanie dzieciom drzwi do wolności, do odkrywania świata, poznawania go po swojemu, wyrażania swojego zdania. Ciągłe jeszcze zdarza się, że dzieci traktowane są jak pół-ludzie. A one będą kiedyś dorosłymi, będą tworzyć naszą rzeczywistość. Potrzebują od nas, dorosłych, wręcz nadmiernego szacunku. Chciałabym, żeby świat uwierzył w dzieci i uwierzył dzieciom.

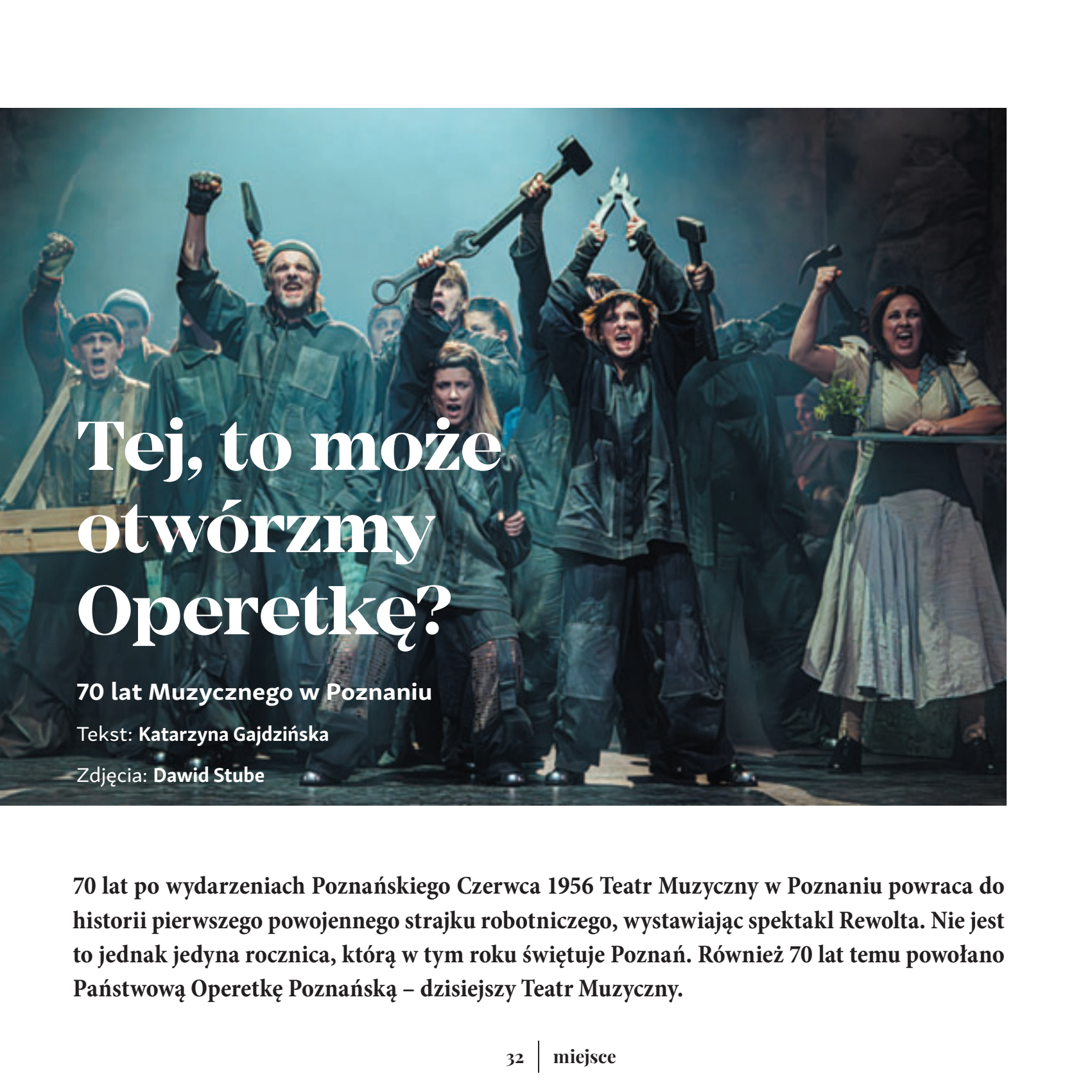
Do jakich postaci jest Ci bliżej? O mocnym charakterze, takim jak u Sinéad czy raczej o łagodnym usposobieniu, jak u Alicji z Krainy Czarów?

Nie umiem powiedzieć do jakich postaci jest mi bliżej. Każde spotkanie z nową postacią mnie osobiście z czymś mierzy i być może to truizm, ale czegoś uczy, albo przynajmniej coś uświadamia. Nie wolę jednych postaci od drugich. Każda z nich mi coś przynosi.

Czy jest coś, o co zapytałabyś Sinéad O’Connor, gdybyś mogła? Sinéad powiedz mi, jak Cię opowiedzieć?



fot. Natalia Kabanow



Tej, to może otwórzmy Operetkę?

70 lat Muzycznego w Poznaniu

Tekst: Katarzyna Gajdzińska

Zdjęcia: Dawid Stube

70 lat po wydarzeniach Poznańskiego Czerwca 1956 Teatr Muzyczny w Poznaniu powraca do historii pierwszego powojennego strajku robotniczego, wystawiając spektakl Rewolta. Nie jest to jednak jedyna rocznica, którą w tym roku świętuje Poznań. Również 70 lat temu powołano Państwową Operetkę Poznańską – dzisiejszy Teatr Muzyczny.

Co się dzieje, gdy ludzie mają dość? W Poznaniu w '56 wyszli na ulicę, żądając chleba i godności. Ale wcześniej żyją jak co dzień. Pracują, stoją w kolejkach, żenią się, próbują przetrwać. Rok 1956 w Poznaniu był właśnie taki. Napięcie narastało powoli. Jednocześnie był to rok, w którym do życia została powołana Państwowa Operetka Poznańska, czyli dzisiejszy Teatr Muzyczny w Poznaniu, który w tym samym miejscu istnieje od 70 lat. Absurd? Wręcz przeciwnie!

Poznaniacy zawsze inaczej!

Warto pamiętać, że w obecnej siedzibie Teatru przy ulicy Niezłomnych przez sześć lat II Wojny Światowej mieściła się siedziba Gestapo. W 1956 roku w tym samym gmachu działał już Dom Żołnierza. Trudno o bardziej nieoczywiste miejsce dla Operetki, którą powołano do życia w marcu, a już w maju odbyła się premiera inauguracyjna otwarcie! Na scenę sprowadzono zarówno doświadczonych śpiewaków, jak i młodych, obiecujących artystów. Chór, balet i orkiestrę tworzyli uczniowie i studenci szkół muzycznych. Sam budynek wołał o pomoc i woła o nią do dziś. Dlaczego? Ciasne, prowizoryczne pomieszczenia, dzielone szatnie, próby w kawiarni, zbyt mała scena, nad którą, piętro wyżej odbywały się potańcówki, zakłócające spektakle. Prowizorka, która miała być tymczasowa, okazała się zaskakująco trwała. Tak trwała, że dziś, czytając te słowa, możecie w każdej chwili sprawdzić repertuar Teatru na kolejne miesiące i wybrać się na spektakl w tym samym miejscu, w którym w 1956 roku zasiedli pierwsi widzowie!

Wyjątkowo zimny maj?

Niekoniecznie, bo w Poznaniu już wtedy zaczynało wrzeć, szczególnie w zakładach Cegielskiego (daw. Zakłady Metalowe im. Józefa Stalina w Poznaniu). Zmęczenie robotników, nadgodziny, wyśrubowane, niemożliwe do osiągnięcia normy i poczucie niesprawiedliwości wciąż narasta. A obok tego – potrzeba, żeby na chwilę się od tego oderwać. Posłuchać muzyki, zobaczyć świat, który choć przez moment wygląda inaczej. Z jednej



strony mamy w Poznaniu robotniczy protest, który był jednym z pierwszych tak wyraźnych wystąpień przeciwko władzy w powojennej Polsce. Z drugiej, historię powstania instytucji kultury, która przez dekady współtworzyła życie artystyczne miasta.

Chodźcie wszyscy, jest Rewolta!

Dzisiaj w Poznaniu, w tym samym miejscu, historia wraca na scenę Teatru Muzycznego. 70 lat później, odbywa się premiera spektaklu *Rewolta* – opowieści o przebudzeniu i o tym, co się dzieje, gdy ludzie mówią „dość”. Twórcy *Rewolty* nie próbują udawać, że strajk poznańskich robotników z 1956 roku to zamknięty rozdział. Wręcz przeciwnie – budują w widzu poczucie niewygodnego *déjà vu*. Czy historia zatacza koło? – Młodzi, którzy nie mają mieszkań, ubezpieczenia, którzy pracują ciężko, a zarabiają za mało – to przecież tematy, które dotyczą ludzi obecnie – mówi Przemysław Pilarski, twórca libretta.

Tylko w Poznaniu!

Premiera *Rewolty* zbiegła się z dwiema ważnymi dla Poznania rocznicami. W maju odbędzie się uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod nową siedzibę Teatru. Co ciekawe, 70. rocznicę określa się mianem „kamiennej”, co nadaje wydarzeniu dodatkowy, symboliczny wymiar. A kto, jeśli nie Poznaniacy, potrafi wychodzić ze wszystkiego obronną ręką? W końcu, jak pisał poeta Stanisław Przybyszewski: *Poznań nie zna kompromisów – wszystko, co robi, robi sumiennie, gruntownie i na czysto.*

A man with a beard and glasses, wearing a white cap and a dark t-shirt, is working in a workshop. He is using a red heat gun on a piece of wood. The workshop is filled with various tools, including power drills, a blue storage cabinet, and a workbench. The background is a wooden wall with many tools hanging on it.

Rzemieślnicza Główna

Poznański fach w ręce

Tekst: Joanna Gruszczyńska, Maciej Szymaniak

Zdjęcia: Ula Jocz



Powstała mapa rzemiosła poznańskiej dzielnicy Główna. To przewodnik po 38 pracowniach, zakładach czy mniejszych punktach usługowych. Ale publikacja to również dobry pretekst, aby przyrzeć się samej Główniej, często nieznannej poznaniakom. Czego możemy dowiedzieć się o dzielnicy dzięki mapie?

O działalności Fyrtla Główna

Aby zdobyć mapę najlepiej wybrać się na Główną. Pociągiem, wysiadając na stacji Poznań-Wschód, rowerem przez Wartostradę albo autobusem, np. z Ronda Śródka. Publikację można złapać w lokalnych punktach usługowych, m.in. w piekarniach, sklepach, restauracjach, ale również w społecznym centrum kultury Fyrtel Główna, które jest inicjatorem projektu. Jego siedziba mieści się przy ul. Główniej 42 w budynku dawnej szkoły podstawowej, gdzie obecnie działa też Biblioteka Sąsiedzka, Baza 2.0 (pokój młodzieżowy) czy Centrum Inicjatyw Lokalnych (CIL). Ten ostatni to program, który funkcjonuje na terenie każdej poznańskiej dzielnicy. Choć profile działalności poszczególnych CIL-ów różnią się w zależności od charakteru osiedla czy organizacji, która je prowadzi, wszystkie powstały z myślą o integracji społeczności lokalnych oraz jako miejsca wsparcia mieszkańców i mieszkanki w realizacji ich pomysłów na sąsiedzkie działania. Fyrtel Główna, prowadzony przez Stowarzyszenie Młodych Animatorów Kultury, w dużej mierze skupia się na badaniu i dokumentowaniu głowieńskiej historii, tradycji, obyczajów, architektury czy ekologii – zwrotku temu, co lokalne, jest podstawą do wielu działań i inicjatyw kulturalno-animacyjnych na terenie dzielnicy. Mapa rzemiosła to przykład jednego z projektów, który czerpiąc z historii, opowiada o współczesności. Pomysł na projekt narodził się w 2025 roku, co nie jest przypadkową datą.



O tym, co było 100 lat temu

W 2025 roku Główna – wówczas jeszcze wieś – razem z Komandorią, Ratajami, Małą Starołąką, Dębciem, Winiarami i Naradowicami świętowała stulecie włączenia do Poznania. Gdy w 1925 roku weszła w granice miasta, liczyła prawie 7 tysięcy mieszkanek i mieszkańców. Kim byli i czym się zajmowali? Z „Kroniki Miasta Poznania” poświęconej Główniej i Zawadom (2/2002) wyłania się obraz miejsca zamieszkiwanego przede wszystkim przez ludzi pracy – osoby zatrudnione zarówno w okolicznych fabrykach, takich jak „Cegielski”, browar Huggera, cegielnia Hartwig & Weidemann czy młyn na Nadolniku, jak i w mniejszych warsztatach rzemieślniczych i usługowych, prowadzonych w domach frontowych i budynkach gospodarczych w podwórzach kamienic. Na Główniej działał zakład szewski, pracowali kowale, wozy naprawiali i konstruowali stelmachowie. Mieszkali cieśle i murarze. Znaleźć mogliśmy kuźnię, warsztaty stolarskie, bednarskie i kołodziejskie, czyli te, w których wytwarzano koła. Na Główniej mieszkali też przedstawiciele i przedstawicielki wielu innych zawodów rzemieślniczych. Krawcowa, szwaczka, fryzjerka i fryzjer, obuwnik, cukiernik, destylator i cygarnik to tylko niektóre z nich.

Które z profesji obecnych na Główniej sto lat temu przetrwały do dziś? Co z dawnego rzemieślniczego krajobrazu tej części miasta można odnaleźć obecnie? Stulecie włączenia Główniej do Poznania i prace nad mapą stały się dobrą okazją, by to sprawdzić.

O tym, że Główna jest fryzjerską dzielnicą?

Obecnie Główną można podzielić na dwie części. Pierwszą stanowi obszar położony za ulicą Bałtycką, gdzie dominują zakłady produkcyjne i firmy, gdzie w zasadzie nie znajdziemy osiedli ani kamienic mieszkalnych. Ta strefa Główniej zachowała swój przemysłowy charakter. Jednak mapa rzemiosła koncentruje się na tej drugiej części, którą można określić mianem historycznej i mieszkaniowej. To obszar wyznaczony przez ulicę Bałtycką, Hlonda oraz tory kolejowe, które – gdyby spojrzeć na mapę rzemiosła zaprojektowaną przez Jakuba Haremę – układają się w trójkąt. W niego wpisane jest 38 punktów reprezentujących lokalne rzemiosło, rozumiane bardzo szeroko. Jak można przeczytać na rewersie publikacji, rzemiosło „będzie oznaczało zarówno fach w rękę, wytwórczość warsztatową lub/i pracownianą oraz świadczenie usług opartych o specjalistyczną wiedzę i umiejętności manualne, techniczne czy artystyczne”. Ta szeroka definicja znajduje swoje odzwierciedlenie w różno-



rodności prezentowanych w publikacji profesji. Na mapie można odnaleźć mechaników, rękodzielniczkę, witrażystkę, modelarza, pszczelarza, kominiarza, serwisantów pralek, rowerów i maszyn do szycia, krawcowe, stolarzy czy fryzjerów i fryzjerki, których na Główniej jest aż... 8, a większość z nich na samej ulicy Główna. Spacerując nią, można nawet pobawić się w ich zliczenie albo po nazwie spróbować odgadnąć, kiedy powstało dane miejsce. Bo fryzjer raz jest po prostu fryzjerem, innym razem salonem, pracownią albo zakładem fryzjerskim.

Czy rzemiosło umiera?

Łatwo ulec uproszczeniu i powiedzieć, że rzemiosło umiera. Choć mijając nieczynne zakłady, czasem trudno nie pomyśleć w inny sposób. Szklarstwo na ul. Smolnej. Usługi stolarskie na ul. Mariackiej. Zakład modelarski na ul. Gnieźnieńskiej. Po tych miejscach zostały tylko zszarzałe tabliczki na murach główniejszych budynków. Śladów działalności cieśli, stelmachów, bednarzy czy młynarzy nie odnajdziemy już wcale. Tak samo jak kołodziejów, z których usług już nie korzystamy. Samochody zastąpiły wozy jako środki transportu, a kołodziejów mechanicy, blacharze i elektrycy – na mapie znalazło się aż 11 zakładów samochodowych. Nie znajdziemy na niej też kaletnika czy szewca, bo zamiast naprawiać nauczyliśmy się kupować nowe produkty. To tylko niektóre przykłady obserwowanych przemian. Jest jeszcze kwestia profesji trudnych do wyuczenia, wymagających lat praktyki i odpowiedniego zaplecza technologicznego czy sprzętowego, które są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jeśli dzieci nie kontynuują działalności swoich rodziców albo dziadków, zawód często znika razem z nimi. Jednak zanik pewnych zawodów nie oznacza, że rzemiosło umiera. W miejsce jednych profesji pojawiają się inne. Na mapie rzemiosła dzielnicy Główna można znaleźć groomerów, barberów, twórczynie świec sojowych czy krawcowe szyjące różki i pościele dla dzieci. Zamiast mówić o „końcu rzemiosła”, trafniej jest powiedzieć o jego przekształceniu i zastanowić się, jakie zmiany w produkcji, konsumpcji, technologii czy obyczajach do niego doprowadziły, oraz jak je oceniamy.



Powrót do rzemiosła

W Poznaniu można dziś zaobserwować powrót do zainteresowania rzemiosłem. Widać to w rosnącej popularności „produktów rzemieślniczych”, zwrocie ku lokalności, większym szacunku dla pracy rąk i usług świadczonych w małych, często rodzinnych zakładach oraz w działaniach miasta związanych z promocją szkolnictwa zawodowego czy programem wsparcia rzemiosł unikatowych. Pozytywny odbiór mapy rzemiosła Główniej jest częścią tego trendu, który m.in. pokazuje, że obecność rzemieślników w mieście to powód do dumy dla jego mieszkańców i mieszkanek. Jeśli mamy więc wybór, warto wspierać i korzystać z usług osób działających w naszej okolicy: kupować produkty od lokalnych wytwórców, naprawiać sprzęty, odwiedzać zakłady krawieckie, mechaniczne czy fryzjerskie. Być może podobne mapy powinny powstawać w każdej dzielnicy, przypominając, że wiele usług znajduje się na wyciągnięcie ręki, a rzemieślnicy i rzemieślniczki są częścią naszej lokalności.

Ethno Port 2026



Cztery dni muzycznej podróży przez kontynenty

Muzyka z całego świata po raz 19. zabrzmie w Poznaniu! W dniach 11–14 czerwca 2026 w centrum miasta zagości Festiwal Ethno Port. Cztery dni, trzy niezależne sceny muzyczne, liczni goście z wielu zakątków świata i bogaty program wydarzeń. Tradycja połączy się z nowoczesnością.

Muzyczna część tegorocznego Ethno Portu to spotkanie tradycji z różnych stron świata – od Karpat, Bałkanów i Półwyspu Iberyjskiego, przez Kaukaz i Anatolię, po Afrykę Południową i Amerykę Łacińską. Program połączy wiejskie pieśni, muzykę taneczną i wielogłosowe śpiewy z nowoczesnymi interpretacjami, improwizacją, elektroniką oraz energią współczesnych scen miejskich. Obok surowych, archaicznych brzmień pojawią się projekty odważnie przetwarzające folklor, rodzinne i międzypokoleniowe formy muzykowania.

– Przez osiemnaście lat Ethno Port stał się przestrzenią, w której różnorodność jest wartością, a muzyka żywym językiem łączącym ludzi. Dziękujemy za Wasze zaufanie i zapraszamy Was do wspólnej podróży – otworzymy się na dźwięki, które przekraczają granice i budują mosty między kulturami! – zachęca dyrektorka festiwalu Bożena Szota.

Podobnie jak w ubiegłych latach, program realizowany będzie na trzech niezależnych scenach: w Sali Wielkiej, na Dziedzińcu Zamkowym oraz w Parku im. Adama Mickiewicza. Każda z nich stworzy różnorodne przestrzenie dla muzyki, dialogu i wspólnego przeżywania kultury.

Organizatorzy kontynuują w najnowszej edycji festiwalu sprawdzone i cenione cykle programowe. „Małe Ethno” ponownie zaprosi najmłodszych uczestników i uczestniczki wraz z opiekunami do wspólnego odkrywania muzyki świata poprzez warsztaty i koncerty dostosowane do rodzinnej publiczności. Z kolei „Wysłuchaj się w świat” stanie się przestrzenią rozmów i refleksji nad współczesnymi tematami społecznymi, ukazanymi w kontekście kultury i globalnych przemian.

Ethno Port to okazja do wspólnego świętowania, organizatorzy stawiają więc na dostępność. Na wybranych koncertach i spotkaniach zapewniona zostanie audiodeskrypcja, tłumaczenie na PJM (polski język migowy) oraz możliwość skorzystania z przenośnej pętli indukcyjnej. Koncerty i wydarzenia towarzyszące odbędą się w miejscach, do których każda osoba będzie mogła swobodnie dotrzeć i w pełni w nich uczestniczyć.

Karnety na festiwal można kupić na stronie internetowej oraz w kasie CK ZAMEK.



Festiwal Ethno Port 2026

11–14.06.2026

Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

karnety dostępne online i w kasie CK ZAMEK

karnet 3-dniowy: 320 zł

karnet 4-dniowy: 350 zł

Bilety: www.bilety24.pl


Więcej informacji: www.ethnoport.pl

www.facebook.com/ethnoport

www.instagram.com/ethnoportfestival

www.facebook.com/ckzamek

www.instagram.com/ckzamek



„Naszą mocą jest autentyczność”

Youth Novels

Rozmawiała: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Dawid Stube

Niektórzy mówią, że na dobre rzeczy warto czekać. W przypadku Youth Novels „czekanie” stało się formą sztuki. Ania i Emil przez dziesięć lat szlifowali swoje brzmienie, unikając dróg na skróty i nie ulegając presji pędzącego świata. Ich debiutancki album *Kamakura*, to nie tylko zbiór piosenek, to intymna mapa podróży, która ostatecznie prowadzi w głąb ich własnych emocji. Rozmawiamy o tym, jak smakuje niezależność, dlaczego izolacja była im potrzebna i jak po dekadzie wspólnej drogi, wciąż patrzą w tym samym kierunku.

Wasza wspólna droga zaczęła się lata temu, a jako zespół jesteście obecni na scenie od dekady. Skąd czerpalicie cierpliwość, by przez ten czas szlifować swój debiut?

Ania: Wydaje mi się, że to dlatego, że cały czas wierzymy w Youth Novels i jesteśmy wierni temu, co założyliśmy sobie lata temu. Nie zmieniliśmy kierunku, a jedynie podążamy tą samą drogą, wzbogacając ją w nowe doświadczenia i umiejętności. Te lata testowały nas bardzo mocno i bywały momenty wątpliwości. 10 lat działalności jako YN pokazało nam też, że na niektóre rzeczy warto czekać i dać im czas, by dojrzały. Tak też było z tym albumem i cieszymy się, że nabral kształt, jaki od początku sobie założyliśmy i udało się nam wydać go zgodnie z naszym sercem.

Jesteście świeżo po premierze *Kamakury*. Czy ten japoński spokój był dla Was ucieczką od polskiej rzeczywistości, czy raczej szansą na stworzenie najbardziej osobistego materiału w karierze?

Ania: Japonia była jednym z wielu miejsc, które zainspirowały nas do stworzenia tego albumu, ale tak naprawdę te miejsca były tylko tłem do tego, co przeżywaliśmy w tym czasie. W ciągu ostatnich lat dużo podróżowaliśmy, a wyjazdy były dla nas próbą ukojenia i pozbierania własnych myśli, ale też znalezienia nowej drogi, po wielu zmianach i podczas trudnych momentów w codziennym życiu.

Emil: Kamakura jest dla nas pewną metaforą, raczej stanem wewnętrznym, który przyjęliśmy po napisaniu tego tytułowego utworu. Chcieliśmy, by reszta piosenek również powstawała z zachowaniem tego samego spokoju, płynności i organiczności. Myślę, że nam się to udało.

Czy połączenie japońskiej wrażliwości muzycznej z alternatywnymi, europejskimi korzeniami było dla Was wyzwaniem?

Ania: Japońska muzyka czy kultura nie były dla nas bezpośrednią inspiracją, a bardziej duchowy i symboliczny charakter miejsc, które odwiedziliśmy. Mocnym elementem utworu tytułowego była skala pentatoniczna zagrana przez Emila na pianinie, która brzmiała azjatycko.

Niektóre szkice na tę płytę (jak w otwierającym „Gone Now”) sięgają 2021 roku. Czy przez te lata utwory „dojrzewały” razem z Wami, czy musieliście je odświeżyć, by pasowały do tego, kim jesteście dzisiaj?

Emil: W pewien sposób to my dojrzewaliśmy do tych utworów, dlatego ten album powstawał przez kilka ładnych lat. Były utwory, które powstały bardzo szybko – bez zastanowienia wyrzucaliśmy z siebie nowe pomysły, czy to podczas pisania, czy też produkcji. Zdarzyły się nagrania, nad którymi musieliśmy posiedzieć trochę dłużej i dać im drugą szansę po pewnym cza-

„Najważniejsze jest pozostać wiernymi sobie i nie zatracić po drodze początkowych założeń, dla których zaczęliśmy tworzyć”

się, ponieważ w jakiś sposób, każdy z nas się z nimi utożsamiał i czuliśmy, że mogą one wnieść dużą wartość do albumu. Teraz odsłuchując już gotowych nagrań, stwierdzamy, że każdy pojedynczy utwór na tym albumie jest dla nas wciąż aktualny i nie zmienilibyśmy zupełnie nic.

Ponownie współpracowaliście z Chrisem Allenem. Czego Chris szuka w Waszej muzyce, czego Wy sami czasem nie dostrzegacie?

Ania: Chris jest utalentowanym inżynierem i potrafi doskonale zrozumieć upragnione brzmienie. Nie dodaje dużo od siebie, a bardziej wydobywa nasze najmocniejsze strony, których może czasem sami nie zauważamy. Często mówimy, że przesyłamy mu miksy zrobione przez Emila, a on robi je tak samo, tylko lepiej. (śmiech)

Sesje w Kocewce, w studiu Kamila Patera, miały w sobie coś z izolacji. Czy odcięcie się od świata było niezbędne, by wydobyć z *Kamakury* tę intymność?

Emil: Myślę, że ta izolacja nie była niezbędna, jednak bardzo nam pomogła już w końcowym etapie produkcji. To miejsce przynosiło nam dużo spokoju, pozwoliło odetchnąć i na chwilę odciąć się od świata zewnętrznego. Mogliśmy skupić się jedynie na muzyce i ostatnich najważniejszych decyzjach

związanych z produkcją, czyli finalnym brzmieniem całego albumu.

Ania: Poza tym, do tego świata zaprosiliśmy kilka osób, z którymi nie była to całkowita izolacja. Współproducentem albumu był Hubert Pilarski, z którym spędziliśmy wiele inspirującego czasu. Dodatkowo, w aranżacjach na kwartet, pomagała nam Ania Krycińska, a w nagraniach wspierali muzycy sesyjni: Tokłowicz With Strings, czyli Wiktoria Tokłowicz, Agata Doszczak, Marcelina Murawska i Natalia Chrostek (kwartet smyczkowy), Patryk Rynkiewicz (trąbka) i Max Psuja (perkusja), którzy dodali magii tym utworom.

Kamakura to podróż przez Japonię, Islandię oraz Grecję. Czy przez to album jest dla Was bardziej pamiętnikiem z podróży, czy też mapą stanów emocjonalnych, które przytrafiały się Wam w tych miejscach?

Ania: Myślę, że ten album zawiera oba stany. Wspomnienia z naszych podróży, które odbywaliśmy oddzielnie, ostatecznie zostały utrwalone w formie zdjęć, tekstów czy muzycznych impresji. Zebraliśmy je w jednym miejscu, aby później wymienić je między sobą i wydobyć wspólny mianownik. Mapa stanów emocjonalnych jest też dobrym określeniem, ponieważ tak, jak wspomniałam, te miejsca były tylko tłem do codzienności, w której przeżywaliśmy momenty radości, ale też zwątpienia, niepewności czy bezsilności.

Czy zdarzają się Wam utwory, o które toczycie prawdziwe boje? Czy raczej Wasza wizja muzyki jest zazwyczaj spójna?

Emil: Nasza wizja jest bardzo spójna i od dziesięciu lat staramy się ją kontynuować. Wiadomo, zdarzają się momenty, w których dyskutujemy nad niektórymi kwestiami, ale są to raczej drobne, pojedyncze elementy i to już podczas etapu produkcji. Jednak kompozycyjnie i koncepcyjnie jesteśmy zgodni. W końcu to my w dwójkę tworzymy ten świat i myślę, że bez wzajemnego zrozumienia *Youth Novels* już dawno by nie istniało. Dzięki temu jesteśmy też dla siebie wsparciem i w trudniejszych momentach, przy pewnym zwątpieniu, łatwiej nam jest z tego wyjść.

Wasze teksty są bardzo intymne. Czy macie granicę prywatności, której nigdy nie przekroczycie, czy muzyka to dla Was forma pełnego pokazania emocji?

Ania: Wierzymy, że naszą mocą jest autentyczność i prawdziwość i to właśnie doceniają nasi słuchacze. Pomimo że to często bardzo trudne przeżycia, to chcemy je wypuszczać w świat, ponieważ wierzymy, że każdy może znaleźć w tym siebie i być może pomożemy mu uporać się z tymi trudnościami. Taki jest też mój styl pracy – piszę o tym, co bezpośrednio odczuwam albo o moich obserwacjach otoczenia. Pisanie tekstów, a później wyśpiewywanie ich jest też dla mnie sposobem na godzenie się z tymi emocjami i układaniem sobie ich w głowie.

Gdybyście mieli wskazać jeden moment na *Kamakurze*, który najlepiej definiuje ten album, jakiś fragment, dźwięk czy emocję, to co by to było?

Emil: Sam utwór „Kamakura” jest właśnie utworem, który definiuje cały album. Dla mnie jest to numer pełny, który pokazuje wszystkie nasze odcienie, poprzez mrok i intymność, aż po wolność i bardziej taneczne klimaty. Pozostałe utwory są tego uzupełnieniem. Sam utwór *Kamakura* powstał tak naprawdę w jeden dzień. Połączyliśmy tekst i muzykę, które po powrocie Ani z Japonii nabrały nowego znaczenia. Magnes Wielkiego Buddy, który dostałem jako pamiątkę z podróży, zdecydowanie nam w tym pomógł, (śmiech) Lubimy, kiedy dźwięki wychodzą z nas same – czujemy, że jest to wtedy bardzo naturalne i w pełni nasze.

Jesteście bardzo świadomi wizualnie – w teledyskach, sesjach i oprawie graficznej. Jak dużą rolę odgrywa obraz w odbiorze Waszej muzyki i *Kamakury*?

Ania: Od początku naszej działalności zwracamy dużą uwagę na sferę wizualną, może głównie dlatego, że mam wykształcenie artystyczne i od zawsze było to dla mnie ważne. Poza tym, nasza muzyka jest bardzo nastrojowa i staramy się wprowadzić słuchacza w ten świat i zbudować pełne, immersyjne doświadczenie. Przy tworzeniu utworów na album *Kamakura*, od razu w naszych głowach, a później na listach inspiracji,



pojawiały się czarno-białe zdjęcia, ale z dużą ilością słońca. Myślę, że udało nam się przekazać to dzięki współpracy z utalentowanym fotografem teatralnym, Dawidem Stube.

Co jest dziś największym wyzwaniem dla zespołu alternatywnego w Polsce? Przebicie się do mainstreamu czy utrzymanie niezależności?

Emil: Myślę, że utrzymanie niezależności jest największym wyzwaniem. Przebicie się do mainstreamu to jedno, ale dużo trudniejsze jest zachowanie własnego języka i wrażliwości, kiedy pojawia się presja, żeby się dopasować. Najważniejsze jest pozostać wiernymi sobie i nie zatracić po drodze początkowych założeń, dla których zaczęliśmy tworzyć.



„Nie ma już za kim się schować”

NATA

Rozmawiła: Zofia Myślicka

Zdjęcie: Szymon Cieślak

NATA, znana z duetu *CÓRY*, wraca z solowym projektem *TABU* – najbardziej osobistym materiałem w swojej dotychczasowej drodze. Bez dzielenia emocji na pół, bez chowania się za wspólnym brzmieniem. Przejście z „my” do „ja” okazało się czymś więcej niż tylko zmianą formy. To rozmowa o wychodzeniu z cienia, przejmowaniu kontroli i odwadze, by w końcu przemówić w pełni własnym głosem.

Długo znaleźliśmy Cię jako część Cór. Jakie to uczucie przestać mówić o sobie „my”, a zacząć „ja”? Które elementy Twojej wrażliwości musiały w zespole iść na kompromis, a teraz w końcu wybrzmiewają w pełni?

Powiem szczerze, że lubię być częścią duetu – to daje takie poczucie bezpieczeństwa, wspólnego celu i napędzania się w działaniu. Nagranie solowej płyty *TABU* było z kolei dużym wyzwaniem, bo po pierwsze wiązało się to z większą ilością pracy oraz inwestycją czasu i pieniędzy. Jednocześnie na każdym etapie otrzymałam ogromne wsparcie od mojego męża, który zrobił projekt poligrafii, towarzyszył mi podczas sesji nagrań i teledysków, a także bardzo mnie motywował do skończenia płyty – czasami aż do późnych, a raczej wczesnych godzin porannych – rozmawiając ze mną o tym, co jeszcze możemy zrobić, aby *TABU* było top level. Zawsze, kiedy przestajemy mówić i myśleć jako „my”, a zaczynamy jako „ja”, wiąże się to z przejściem odpowiedzialności i inicjatywy, ale też z wyjściem poza strefę komfortu, bo nie ma już za kim się schować – to są moje historie, przemyślenia i emocje. Ostatecznie ma to jednak działanie wręcz terapeutyczne, ponieważ pozwalając sobie na szczerość i wypowiadając na głos słowa, które wcześniej więzły w gardle, poczułam ulgę i wolność w swojej kreacji.

Tytuł *TABU* to pewnego rodzaju deklaracja. Co było tym pierwszym, najtrudniejszym do przełamania tabu, które sprawiło, że poczułaś: „muszę o tym napisać płytę”?

Chyba najtrudniej było opowiedzieć o niedowidzeniu. Urodziłam się ze skomplikowaną wadą wzroku, przez co nieraz byłam gnębiona przez rówieśników, więc czułam, że muszę być twarda, nie dać po sobie nic poznać i zaważać o siebie. Z drugiej strony, często czułam się zależna od pomocy innych, że potrzebuję drugiej osoby. Te dwa skrajne stany sprawiły, że do tychczas nie mówiłam o problemach ze wzrokiem. Zdusiłam to w sobie, próbowałam się dostosować i w rezultacie przypłaciłam to zdrowiem psychicznym i fizycznym. Być może każdy ma swoje pierwotne tabu, na którym nadbudowuje kolejne warstwy. Po wydaniu płyty dostaję bardzo pozytywny i wspierający odbiór – słuchacze czują w mojej twórczości odwagę, porusza

ich moja transformacja i daje im to nadzieję, że i oni mogą pokazać zarówno swoje bliźny, jak i swoje super moce, bo uważam, że każdy takowe posiada. Co więcej, jestem przekonana, że właśnie to, co w nas nieidealne, czyni nas wyjątkowymi i niepowtarzalnymi jednostkami.

Na płycie słyszymy ogromny rozstrzał emocjonalny – od chłodu w „Bastionie” po trapową energię w „Wasabi”. Od początku planowałaś taką różnorodność?

Super, że to usłyszałaś! Zdecydowanie tak – zależało mi, aby płyta była zróżnicowana pod względem emocji, bo rzeczywiście sporo się ich we mnie kotłowało i chciałam dać im wszystkim upust. Mimo poruszanych, bardzo osobistych i czasami trudnych tematów dotyczących niedowidzenia, zaburzeń odżywiania, nie chciałam żeby płyta miała wyłącznie ciężki, mroczny klimat – daleko mi też od melancholii, którą tak bardzo lubią słuchacze w Polsce. Potrzebuję dynamiki – silnych, wyrazistych często skrajnych emocji bez wygładzenia. Poza tym, dla mnie ważne jest, żeby projekt był spójny jako całość, bo to właśnie buduje styl i tożsamość artysty, a jednocześnie pełen muzycznych eksperymentów z brzmieniem, tempem, tonacją itd. Każdy numer może być inny, ciekawy, a jednocześnie nadal pochodzić z tego samego uniwersum.

Myślę, że nam z Tailorem pięknie się to udało – *TABU* jest muzyczną podróżą, w którą zabieramy słuchacza. Dlatego polecam słuchać numerów w kolejności, w jakiej są one na albumie. (śmiech) Mam wrażenie, że obecnie wiele piosenek brzmi podobnie, bo podąża za tym, co aktualnie trenduje – artyści często tworzą z myślą o algorytmach w social mediach czy na platformach streamingowych – to zdecydowanie nie moja droga. Muzyka jest dla mnie czymś więcej niż klikalnością – to sposób, w jaki doświadczam siebie i komunikuję się ze światem, a jedną z najważniejszych dla mnie rzeczy jest mieć swój własny, nie do podrobienia styl i sound. Szybki, przebudźcowany świat digitalu potrzebuje skrótów, uproszczeń i prostych kategorii, a ja zdecydowanie się temu sprzeciwiam i pozwalam sobie na różnorodność. I chociaż rdzeniem jest nowoczesne R&B, to można usłyszeć na płycie także afrobeat, trap, boom bap, soul, a nawet pop.

„To, co w nas nieidealne, czyni nas wyjątkowymi i niepowtarzalnymi”

Zdecydowałaś się na współpracę z jednym producentem, Tailor Cutem. Co ta intymność pracy we dwójkę dała Twojemu głosowi, czego nie dałaby Ci praca z dziesięcioma różnymi osobami?

Praca z jednym producentem pozwala na wypracowanie wyrazistego stylu muzycznego, który jest efektem tego, co wnieśliśmy do studia – ja i Tailor. Mieliśmy naprawdę dużo czasu, żeby się poznać, zaprzyjaźnić i poczuć się ze sobą dobrze, a jak w każdej relacji – to wszystko wymaga czasu. Dopiero kiedy komuś ufam, potrafię się otworzyć i spróbować czegoś nowego bez lęku, że zostanę oceniona. Jak się z kimś dobrze czuję, to czerpię radość z tworzenia, a z tego miejsca powstają najlepsze numery. Wiele razy Tailor proponował rozwiązania, które mnie zaskakiwały – zwłaszcza jeśli chodzi o adliby. Byłam przyzwyczajona do tego, że to harmonie są głównym nośnikiem wibu w numerze, a podczas nagrywania zmieniłam sposób myślenia o piosenkach, zwracając również uwagę na to, co wypełnia przestrzeń pomiędzy frazami.

Praca z głosem to bardzo intymna sytuacja – głos to my. Rezonuje w naszym ciele, przekazuje emocje i naszą osobowość, nie tylko przez słowa, jakich używamy, ale również przez drżenie, pauzy, tembr i barwę. To, czy głos się niesie, czy się chowa, czy jest szeptem, krzykiem, falsetem zależy nie tylko od tego co chcemy przekazać, ale też na co w danym momencie możemy sobie pozwolić. Już od pierwszego singla wiedziałam i czułam, że z Tailor Cutem nagramy całą płytę – on, tak jak ja, balansuje między hip-hopem a R&B, co sprawia, że świetnie się rozumiemy muzycznie. Praca w studio z producentem to również kwestia pewnej dojrzałości artystycznej, która jest potrzebna, aby móc zrealizować swoją wizję, a zarazem mieć pokorę i otwartość na sugestie i pomysły drugiej osoby, ostatecznie chcemy razem stworzyć jak najlepsze numery.

Na ile świadomie budujesz teraz swój wizerunek wizualny, a na ile to, co widzimy w klipach czy na zdjęciach? To po prostu „NATA z danego dnia”?

Zaprosiłam Martę Nawrocką – poznańską artystkę i malarzkę – na plan teledysku do „Bastionu”, który zrealizował Maciej Olejniczak. Na miejscu stworzyła obraz motyla, a my zarejestrowaliśmy jej proces twórczy, wplatając go w wizualną narrację klipu. Ten motyl stał się motywem spajającym cały projekt – symbolem transformacji, który przenika zarówno warstwę wizualną, jak i moją osobistą historię. Chciałam, aby mój wizerunek – stylizacje i włosy podczas sesji zdjęciowych oraz teledysków – oddawał proces transformacji, wychodzenia z cianno opinającego kokonu, aby w końcu poczuć wolność twórczą.

Projektantka Vanessa Siwy uszyła trzy niesamowite stylizacje, które fasonem, kolorem i surowością tkanin właśnie to oddały. Przez cały proces nagrywania płyty nosiłam różowe warkocze, które zawsze zaplatała mi braiderka Afro Ksenia – i za każdym razem były trochę dłuższe i odważniejsze, tak jak ja z każdym numerem pozwalałam sobie na coraz większą szczerość. Warkocze są bardzo związane ze stylistyką urban music, ale róż to odważny kolor do noszenia na głowie, zwłaszcza dla kogoś, kto ma już 30 lat i „normalną” pracę. Tylko, że życie jest zbyt krótkie, żeby dostosowywać się do oczekiwań innych.

Mój wizerunek z kolei wpływał na estetykę teledysków nkręconych przez Yucamile. Ważne jest dla mnie, by móc wyrażać się również poprzez wizerunek i kolaboracje, które nawiązuję z innymi artystkami i artystami. *TABU* pojawiło się także jako chain wykonany przez Marię Rabaj oraz torebka uszyta dla mnie przez Serce Concept. Dzięki temu jeszcze przed premierą płyty nosiłam czyjąś sztukę, która motywowała mnie do skończenia mojej. Wolę inwestować w relacje z artystami, których zapraszam do mojego procesu twórczego. Dzięki tym współpracom z niesamowitymi ludźmi, mogłam zrealizować swoją wizję w sposób kompletny i totalny. Co więcej – to dla mnie zdecydowanie coś więcej niż tylko wspólne tworzenie. To były też sytuacje pełne silnych emocji, w których mogłam przepracować fragment swojego *TABU*.

Czy pisanie tekstów jest dla Ciebie bardziej ucieczką od emocji, czy twardą konfrontacją z nimi? Zdarzyło Ci się napisać coś, czego potem po prostu bałaś się wypuścić w świat?

Na płycie znalazły się wszystkie numery, które nagraliśmy – nie było żadnych odrzutów. Piszę piosenki, żeby przeżyć i skonfrontować się z emocjami, to dla mnie wentyl bezpieczeństwa. Kiedy przez dłuższy czas nie robię muzyki, ogarnia mnie poczucie chaosu. Z drugiej strony, kiedy mam sesję nagrań, totalnie przepadam, odcinam się od wszystkiego, czasami nawet zapominam o jedzeniu. Uwielbiam ten stan pochłonięcia, tworzę flow i jestem niesamowicie wdzięczna za każde takie doświadczenie.

Mocno wspierasz kobiety w branży. Czy uważasz, że polska scena rap/R&B stała się w końcu bezpiecznym miejscem na autentyczność, czy wciąż musisz walczyć z narzuconymi rolami?

W Polsce nadal jest mało artystów R&B – jako słuchacze lubimy ten gatunek, ale twórcy rzadko się z nim utożsamiają. Od kilku lat na Fryderykach nie ma nawet kategorii R&B/Soul, bo po prostu nikt się do niej nie zgłasza. Jeśli chodzi o kobiety w rapie, to super, że jest nas coraz więcej, ale wciąż brakuje różnorodności. Mam wrażenie, że wyeksponowane są głównie dwa bieguny narracji – bardzo silna, „twarda” raperka albo dziewczyna, która przede wszystkim emanuje swoją cielesnością. I ja nie mam nic przeciwko temu – po prostu brakuje mi dojrzalszych treści. Brakuje mi kobiet, które coś przeżyły i mogą mówić z różnych perspektyw – matki, żony, filozofki, poetki, buntowniczki. Brakuje mi w Polsce takiej energii jak u Little Simz czy Erykah Badu. Dlatego czuję, że swoją twórczością mogę wnieść wartość i pokazać zupełnie inną narrację. Chciałabym, żeby dziewczyny nie czuły presji, że ich wartość zależy wyłącznie od tego, jak wygląda ich ciało. Sama bardzo lubię współpracować z kobietami, artystkami, bo uważam, że mamy wiele ciekawych i ważnych perspektyw do pokazania.

Kiedyś również wspominałaś o presji i hejcie. Czy dziś, będąc solo na froncie, jesteś na to bardziej odporna, czy po prostu nauczyłaś się inaczej nad tym pracować?



fot. Ewelina Jaskowiak

Niestety hejt napędza algorytmy, trochę na zasadzie: nieważne, co mówią, ważne, że mówią. Staram się nie czytać komentarzy, ale mam też świadomość, że te negatywne często oznaczają, że wyszłam poza swoją bańkę i docieram do nowych, bardziej zróżnicowanych odbiorców. Współczuję młodym artystom, bo dla nich taka forma przemocy może być naprawdę niszcząca i niebezpieczna. Dlatego tak ważne jest wsparcie najbliższych i silne poczucie własnej wartości. W mediach społecznościowych walutą jest zaangażowanie – dla algorytmów nie ma większego znaczenia, czy jest ono pozytywne, czy negatywne. Hejter i tak inwestuje w ciebie swój czas i energię, warto o tym pamiętać.

I na koniec, jak opisałybyś TABU w trzech słowach?

Proces, autentyczność, ekspresja.



Jak w dobrej książce

Gary Holldman

Rozmawiał: **Rafał Szaroleta**

Zdjęcia: **Anna Soporowska**

Gary Holldman to poznański DJ i producent, który pierwsze kroki stawiał jeszcze w legendarnym Eskulapie, gdzie zadebiutował w 2009 roku podczas jednej z imprez Tresor Night. Od ponad 15 lat wydaje swoją muzykę, a od dekady prężnie działa z własnym labellem International Day Off. Na swoim koncie ma wiele produkcji i wydawnictw, ale dopiero teraz debiutuje z pełnoprawnym longplayem „027”. Label IDO specjalizuje się w muzyce techno, ale czy ten album właśnie taki będzie? Jak sam zainteresowany twierdzi, przedstawi nam swoją opowieść, gdzie „będzie dużo muzyki w muzyce”.

Skończyłeś prace nad swoją debiutancką płytą. Muzykę wydajesz już od ponad 15 lat. Nasuwa się zatem pytanie – dlaczego dopiero teraz?

Album postanowiłem nagrać z bardzo prozaicznego powodu – nigdy wcześniej tego nie robiłem, a sam pomysł na pierwsze LP jawił się w mojej głowie od jakiegoś czasu. Wiedziałem, że gdy zacznę nad nim pracować, musi być różnorodnie, że chcę nagrać swojego rodzaju opowieść. Myślę, że to mi się udało.

Co to za opowieść? Proszę rozwiń temat.

Moja własna, różnorodna i spójna zarazem. Głównym gatunkiem, w którym się poruszam jest techno, ale to wcale nie oznacza, że album musi być jednolity i przewidywalny. Zdaję sobie sprawę, że takie podejście bywa funkcjonalne, jednak to nie moja droga. Dla mnie longplay złożony z dziesięciu podobnych utworów, byłby po prostu zbyt nudny.

Całość rozpoczyna się na plaży utworem „Sand”, który daleki jest od parkietowych bangerów – zdecydowanie bliżej mu do plażowego afteru. „Tribe” to dynamiczne techno z tribalowymi akcentami, po którym wchodzi „Bui Vien” – połamany i masywny.

Zależało mi na tym, aby na tym albumie było „dużo muzyki w muzyce”. Żeby nie wszystko było oczywiste i przewidywalne, ale jako całość pasowało do siebie – jak w dobrej książce.

Po latach działalności będzie to Twój pierwszy longplay. Ile trwały prace nad tworzeniem tego materiału i jak wyglądała jego realizacja?

To prawda, długo się do tego zabierałem. Moje pierwsze wydawnictwa ukazały się w 2010 roku. Wtedy pracowałem chaotycznie, napędzany ekscytacją z wydania muzyki na winylu. Dziś podchodzę do tego spokojniej, z dystansem – tworzę bez presji, zwykle z konkretnym pomysłem realizowanym krok po kroku. Siadam w studiu z kawą, uruchamiam moje syntezatory i rozmawiamy, aż wspólnie dochodzimy do puenty i to ona staje się finalnym utworem. Staralem się ukończyć jeden utwór, zanim zacząłem pracować nad drugim. Ta metodyczność pomogła mi w tworzeniu tego LP. Jestem człowiekiem wielu pasji, jadą z nich są podróże i to właśnie one stały się inspiracją dla albumu, co odzwierciedla tytuł albumu i utworów.

Co dokładnie wyciągnąłeś z tych podróży? Jaki miały konkretnie wpływ na Twoje produkcje?

Podróżowanie to nic innego jak eksplorowanie różnorodności. Począwszy od flory i fauny, przez kulturę, religię, na smaku, zapachu i dźwiękach kończąc. Każde miejsce miało swój rytm, tempo i energię. To właśnie dlatego ten album nie jest jednorodny, bo odzwierciedla różne stany, miejsca i doświadczenia. „Bui Vien” i „Sapa” to wspomnienia z Wietnamu. „Sgurr”



i „Skye” to szkockie góry, gdzie trzeba trzymać tempo, a pogoda jest zmienna i nie zawsze jest lekko, ale zawsze co najmniej dobrze.

Czujesz tremę „debiutanta”, tego jak zostanie przyjęty materiał?

Nie wiem, czy to trema, czy niepewność. Dziś żyjemy w zupełnie innych czasach niż wtedy, gdy wydawałem swoje pierw-

sze płyty. To świat rolek i krótkich migawek, w którym muzyka nie przyciąga już takiej uwagi jak kiedyś, a rola wytwórni płytowych została zmarginalizowana. Liczą jednak, że nadal są ludzie którzy lubią wejść trochę głębiej. Opinia kolegów po fachu ma dla mnie znaczenie, więc wysłałem album do Agima, Błażeja Malinowskiego i Jurka Przeździeckiego. To tylko upewniło mnie, że warto iść swoją drogą.

I jaka była reakcja kolegów po fachu? Może czułeś presję lub tremę przed ich recenzją?

Uważam, że warto pytać. Tym bardziej, jak przesłuchałeś swój materiał kilkadziesiąt razy. Uwagi kolegów producentów to cenna rzecz, często mogą oni zwrócić uwagę na coś, co mogło umknąć.

Agim określił album jako dojrzały, różnorodny o bardzo dobrym brzmieniu. Jurek, że to najlepsza rzecz, jaką do tej pory zrobiłem, i że całość stoi na wysokim poziomie. To właśnie Jerzy wskazał też elementy, które jego zdaniem mogą poprawić motorykę dwóch utworów. To był traf w dziesiątkę: niewielkie zmiany w partiach perkusyjnych wyraźnie poprawiły ich dynamikę. Błażej skwitował krótko – „bardzo fajny materiał”

Miło słyszeć takie komentarze od ludzi, których wkład i doświadczenie się ceni.

Wspomniałeś, że płyta ukaże się na winylu. Możesz zdradzić jak będzie prezentować się to wydawnictwo od strony technicznej?

To będzie 10 utworów wydanych w formie podwójnego winylu oraz oczywiście digital i streaming. Jak zawsze zachowujemy nasz klasyczny design, który jest integralną częścią naszej identyfikacji. Wyjątkowo albumy nie będą stemplowane. Motyw na okładce to jedno z moich zdjęć z zeszłego roku.

Planujesz granie z nowym materiałem? Jakies „relase party”?
Większe granie po kraju?

Na tą chwilę z ogłoszonych wydarzeń zobaczymy się 3 czerwca na łódzkim festiwalu Labirynt, gdzie zagram na scenie Up To Date.

Niedawno minął rok od wydania kompilacji, która była zwieńczeniem waszej 10-letniej działalności wytwórni. W polskich realiach jest bardzo trudno prowadzić label techno, a Wy to robicie już ponad dekadę. Domyślam się, że nie jest to łatwy kawałek chleba...

Dla nas to czysta zajawka i pasja do muzyki. Niczego nie musimy, działamy intuicyjnie, wydajemy muzykę którą czujemy, bez podążania za trendami. Jesteśmy autentyczni i to owocuje., Label, który nigdy nie musiał głośno krzyczeć, by zostać usłyszanym” – tymi słowami określono naszą wytwórnię w ubiegłym roku, gdy kompilacja została posadzona przez *Groove Magazine*, jako jedna z 10 najlepszych kompilacji półroczna, obok takich labeli jak Cocoon, Ostgut Ton czy BPich Control.

Jak wyglądała praca nad tą kompilacją? Skupiliście na nim w większości zaprzyjaźnionych artystów. Pewnie sporo roboty z tym było.

Nie będę ukrywać – trochę to trwało. Artystów wytypowałem dość szybko i ku mojemu zaskoczeniu od znacznej większości otrzymałem utwory, co wcale nie musiało być takie oczywiste. Mój zamiysł był analogiczny do albumu, o którym wspominałem wcześniej – wszystko musiało do siebie pasować, więc po drodze pojawiło się sporo zmian.

Z Vril'em zmienialiśmy utwór chyba dwukrotnie, numer od Skudge został zamieniony w ostatniej chwili, a Kuba również wprowadzał jakieś modyfikacje w trakcie. Niemniej jednak, nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszego efektu.

Jako DJ zmniejszyłeś częstotliwość grania w klubach. Czy granie nadal sprawia Tobie taką samą przyjemność jak kiedyś? Czy jednak z biegiem lat profil klubów się za bardzo zmienił dla Ciebie?

Z jednej strony tak, ale z drugiej nie jest to wyłącznie moja decyzja – to również kwestia obecnych wymagań rynku i trendów w muzyce. Faktem jest, że gdy zostajesz rodzicem dwójki dzieci, twoje codzienne życie, a przede wszystkim priorytety, ulegają zmianie. Czas staje się ograniczeniem, bo w końcu rodziców jest tylko dwoje. Moja partnerka również jest osobą

”**To, co obecnie dzieje się na scenie, nie do końca jest moją bajką**”

pełną pasji, więc czasem musimy się dzielić, nie zapominając przy tym o sobie.

To, co obecnie dzieje się na scenie, nie do końca jest moją bajką, niemniej wciąż pojawiają się w naszym kraju wartościowe wydarzenia. Nadal mamy kluby, które nie odpuszczają i robią naprawdę dobre rzeczy. Trzeba zrozumieć konieczność zachowania balansu przez kluby. Prowadzenie klubu to interes i praca jak każda inna, gdzie można ponieść realne straty.

Na twojej poprzedniej EP-ce pojawił się między innymi remiks utworu „Way” w wykonaniu Vрила. Jak doszło do Waszej współpracy?

Ulli to przede wszystkim bardzo serdeczny człowiek. Poznaliśmy się w 2017 roku. Okoliczności były dość zabawne – w środku nocy wykręcałem dla niego interfejs audio ze swojego studia, żeby mógł zagrać swój live.

Później spotkaliśmy się na swojej drodze jeszcze kilka razy. Numer, który mu wysłałem, spodobał mu się na tyle, że zrobił dla mnie remiks na płytę – i to właściwie cała historia.

Jakie plany na ten rok ma wytwórnia IDO? Jakie plany masz Ty?

Label ma w tym roku zaplanowane trzy wydawnictwa. W maju ukaże się mój album, o którym wcześniej rozmawialiśmy, a po wakacjach – EP-ka od starego wyjadacza oraz kolejny album jednego z czołowych polskich producentów.

Moje plany na najbliższy czas, to znaleźć więcej przestrzeni na pracę w studiu, zagrać kilka dobrych imprez tu i tam, spędzić dobry czas w szkockich górach, zwiedzić wybrzeże Portugalii i odwiedzić jeszcze parę innych miejsc. Chcę po prostu cieszyć się życiem, to zawsze jest dobry plan.



Klubokawiarnia Filter

Odkryj nowe i daj się zahipnotyzować muzyce

Połączenie muzyki na żywo, miłości do winyli oraz dobrej kawy nie może się nie udać. Na rogu ulic Zamkowej i 23 Lutego znajdziecie Filter – nowe miejsce na muzycznej mapie Poznania. To przestrzeń, która jest punktem styku muzyki elektronicznej oraz kawiarni. Jak na klubokawiarnię przystało, zjecie tam coś słodkiego, wypijecie dobrą kawą lub matchę i potańczycie do hipnotyzujących dźwięków wieczorami.

Twórcą klubokawiarni jest Patryk Marcyniuk, producent muzyczny, inżynier dźwięku i sound designer, który ostatnie lata spędził w Anglii, gdzie studiował i doskonalił swój warsztat. Filter powstał m.in. z inspiracji londyńskimi adresami muzycznymi czy artystycznym zagłębiem Manchesteru i dzielnicą Northern Quarter, wraz z tamtejszymi licznymi sklepami muzycznymi i klubokawiarniami, takimi jak Eastern Bloc. Sam Patryk swoje miejsce opisuje tak: – Robimy dobre rzeczy – od muzy po kawę, i nie obchodzą nas chwilowe trendy. Robimy koncerty, wystawy, tworzymy kreatywną i przyjazną przestrzeń z poznańskim sznytem.

Efekt improwizacji i zbiór wspólnych sił

Filter skrywa różne strefy oraz łączy krąg znajomych i bliskich: na parterze znajduje się bar i część kawiarniana z napojami oraz słodkimi wypiekami, którą zarządza Rafał. W głębi jest parkiet i scena, a na piętrze przystań z kanapami oraz zjawiskowy widok z antresoli wprost na dancefloor. Wnętrze Filtra to efekt improwizacji i zbioru wspólnych sił. – Prawdę mówiąc jest to efekt kilku wyjazdów na targi staroci i wieczorów spędzonych na OLX. Od samego początku chciałem zachować klimat starej kamienicy i wykorzystać ciekawe ułożenie pomieszczeń. W środku jest wiele elementów, które wyszły spod naszych rąk, jak chociażby poduszki i zasłony szyte przez moją dziewczynę Marianne, czy półki, które zrobiłem z poremontowanych resztek, które normalnie skończyłyby na śmietniku. Swoją cegiełkę dołożyła też Natasza, która cierpliwie słuchała moich pomysłów na wystrój wnętrza – mówi nam Patryk.

Autorkami menu są z kolei Tola i Ania. To one złożyły w całość klimat miejsca i ciekawe propozycje, np. truskawkową matchę. Ich autorskim napojem jest *Filter Fog*, czyli Rooibos na mleku waniliowym z cynamonem. Dodatkowo za dobór kawy odpowiada ekipa JAVA Coffee Roasters, a asem w rękawie Filtra jest Mikołaj, który niedawno zakwalifikował się do finału mistrzostw Polski w robieniu aeropressu. Już wkrótce do menu dołączy sekcja z tostami i koktajlami.



Dzieje się w Filtrze!

Filter otworzył się w ostatni, marcowy piątek, a na otwarciu DJ- sety zagrali m.in. Marek Weiss, Ironia, Mądro czy MissB. Wiadomo już, że będą odbywać się tam regularnie różnorodne muzyczne wydarzenia. Pierwszym z nich był event w ramach Piano Day, który przypadł na weekend otwarcia Filtra, czyli 29 marca. W ramach tego wydarzenia powstała instalacja audio-wizualna *Rezonanse*, przygotowana przez VizAion Immersive. Dzięki specjalnemu systemowi mikrofonów kontaktowych rejestrujących rezonans całego korpusu instrumentu oraz przetwarzaniu audio w czasie rzeczywistym, każdy dźwięk zmieniał się w wielowarstwową strukturę brzmieniową, a mówiąc prościej – fortepian zamienił się w głośnik. Co ciekawe, wydarzenie było otwarte dla wszystkich – każdy mógł usiąść przy pianinie, dotknąć instrumentu, zmienić parametry brzmienia i zobaczyć, jak dźwięk reaguje na gesty.



– Gdy pojawiła się propozycja uczestnictwa w Piano Day bez wahania stwierdziliśmy, że to jest coś w czym chcemy wziąć udział. Myślę, że wystawa *Rezonanse* to idealny początek naszej muzycznej działalności – podkreśla to, co jest dla nas ważne. Każdy może być częścią tego, co tu tworzymy. Możesz po prostu wejść i się tym pobawić – zachęca Rafał.

Śledźcie uważnie nadchodzące wydarzenia, jeszcze nieźle tam namieszają. Jednym z cykli, już od kwietnia, będzie *House On*. To pierwszy krok w stronę stałego cyklu house'owych i tech-house'owych spotkań, gdzie dźwięk, groove i przestrzeń tworzą niezapomnianą atmosferę. Parkiet wypełniony będzie ciepłym basem house'owych rytmów, gdzie o dobre brzmienie w intymnej, niezależnej i świeżej przestrzeni zadbają Switch, Snowdrop i Mintsch. Od kwietnia ruszają też pierwsze jam sessions.

Jest na co czekać – stay tuned!

Filter to miejsce, które będzie otwarte na wszelkie możliwości – odsłuchy płyt, jam sessions, DJ-sety, różne wydarzenia i gatunki muzyczne. Jak mówi Patryk: – Zależy mi na tym, by miejsce to żyło swoim życiem, ale też wpisało się w rytm Poznania. Planujemy sporo wydarzeń w kolejnych miesiącach, związanych z miksowaniem i muzyką na żywo – głównie granej tej elektronicznej, ale stale obecne będą też rzeczy basowe, techno oraz ambient. Z pewnością jesteśmy otwarci na wszelkie gatunki muzyczne, takie jak hip-hop, jazz czy muzyka klasyczna.

Warto obserwować to miejsce także w kolejnych miesiącach – z pewnością będzie ewoluować. To także obowiązkowe miejsce dla wszystkich fanów czarnych płyt – już za kilka miesięcy otworzy się tam też sklep winylowy ze staranną selekcją albumów, a w przyszłości w planach jest także studio muzyczne na poziomie -1. – Filter powstał w mojej głowie już lata temu, najpewniej w momencie kiedy kupiłem pierwszy gramofon. Co prawda sklep z winylami otwieramy dopiero w czerwcu, ale gwarantuję wam, że będzie to nieodłączna część tożsamości Filtra – dodaje Patryk.

FB @Filter Poznan

IG @filter.poznan

Hadaki

Craft and creativity



100% handmade ceramics

www.hadaki.co

Instagram: [hadaki.co](https://www.instagram.com/hadaki.co)

Studio & Showroom: Garbary 50, Poznań

„Powtarzalność

zaczyna

funkcjonować

jak znak”

**FRESH ART:
ROJBER**

Opracował: Dawid Balcerek





Z pewnością kojarzycie różowe świnki w przestrzeni miasta, które możemy napotkać w najróżniejszych zakamarkach Poznania. Odpowiada za nie Rojber, twórca street artu, który czynnie działa od 2018 roku. Jego prace możemy zobaczyć na murach polskich i zagranicznych miast. Świnia stała się jego znakiem rozpoznawczym oraz nośnikiem pozytywnej energii w miejskim pejzażu. Z czasem jego znak rozpoznawczy zaczął ewoluować – świnia nie jest już jedynym bohaterem obecnym w jego twórczości. Artysta rozwija własny alfabet postaci, poszerzając wachlarz charakterów i emocji, które przenosi na miejskie mury. Tworzy głównie za pomocą farb, markerów i wlepek, realizując także formy przestrzenne oraz asamblaże – traktując przestrzeń miejską jako pole do gry, eksperymentu i pozostawienia śladu.



Interesuje mnie moment, w którym coś obcego pojawia się w dobrze znanym miejscu i zaczyna działać na odbiorcę – czasem na zasadzie zaskoczenia, czasem lekkiego dysonansu. To krótkie spięcie w codzienności jest dla mnie kluczowe. Świnia jest najprostszym możliwym narzędziem. Dzięki swojej formie mogą działać szybko i konsekwentnie, a przez powtarzalność zaczyna funkcjonować jak znak. Interesuje mnie ten proces – jak ta sama forma, wrzucana w różne miejsca, zaczyna działać inaczej w zależności od kontekstu. Z czasem buduje własną obecność w mieście – trochę jak coś, co się rozprzestrzenia i zaczyna żyć własnym rytmem.

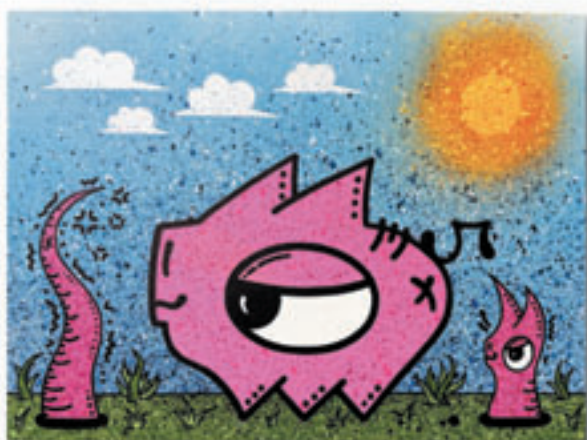


Na ulicy liczy się dla mnie przede wszystkim gest i energia. Głębsze warstwy pojawiają się później – w innych formach, gdzie jest przestrzeń, żeby je rozwinąć. Nie skupiam się na tym, żeby każda rzecz coś dokładnie znaczyła. Bardziej interesuje mnie powtarzalność i to, co z niej wynika – jak z czasem zaczyna się z tego robić coś większego.

Poza działaniami w przestrzeni miejskiej, coraz więcej czasu poświęcam malarstwu i jest to kierunek, który obecnie najmocniej chcę rozwijać. Pracownia daje mi zupełnie inny rodzaj skupienia. To moment, w którym mogę wyłączyć się z rytmu miasta i skupić na samym procesie – eksperymentowaniu, szukaniu formy i pracy z materiałem w bardziej kontrolowanych warunkach.



Równolegle myślę o kolejnych obszarach – instalacjach, formach przestrzennych, przedmiotach użytkowych czy ubraniach. Interesuje mnie rozwijanie tego języka poza samą ścianą. Buduję też portfolio murali – głównie w przestrzeniach usługowych, gdzie wyzwaniem jest uchwycenie charakteru miejsca bez utraty własnego stylu. Każda taka realizacja to osobna łamigłówka i nowe doświadczenie.



Chciałbym iść dalej w tym kierunku – tworzyć kolejne postacie i budować między nimi relacje. Interesuje mnie rozwijanie własnego uniwersum, w którym te formy zaczynają ze sobą współgrać, wchodzić w interakcje i funkcjonować w bardziej złożonych scenariuszach. To dla mnie naturalna kontynuacja – przejście od pojedynczego znaku do systemu, który daje więcej możliwości opowiadania i pracy z przestrzenią.



Obecnie moim faworytem jest robal – organiczna, zdeformowana forma balansująca między czymś żywym a abstrakcyjnym znakiem. Pojawił się już na wielu płaszczyznach i naturalnie rozwija się jako kolejny element mojego alfabetu postaci.



**ROCK
OWI
ZNA**
FESTIVAL
2026

20-22.08
POZNAŃ
LOTNISKO ŁAWICA



STEVE JONES | PAUL COOK | GLEN MATLOCK | FEATURING FRANK CARTER

SEX PISTOLS



**WITHIN
TEMPTATION**



WOLF ALICE

**NOVA TWINS | ROYAL REPUBLIC
KULT | LADY PANK | ACID DRINKERS | DŻEM
NOCNY KOCHANEK | PULL THE WIRE | ILLUSION**

**THE HARDKISS | ŁYDKA GRUBASA | ZENEK GRABOWSKI
THE ANALOGS | ROMANTYCY LEKKICH OBYCZAJÓW | STACJA B**

WEJDŹ NA [ROCKOWIZNA.PL](https://rockowizna.pl)



PRACOWNIA
VISUAL
PRODUCTION

POZNAŃ
AIRPORT

POZNAŃ
ROCK

freemove.pl

ROCKOWIZNA.PL

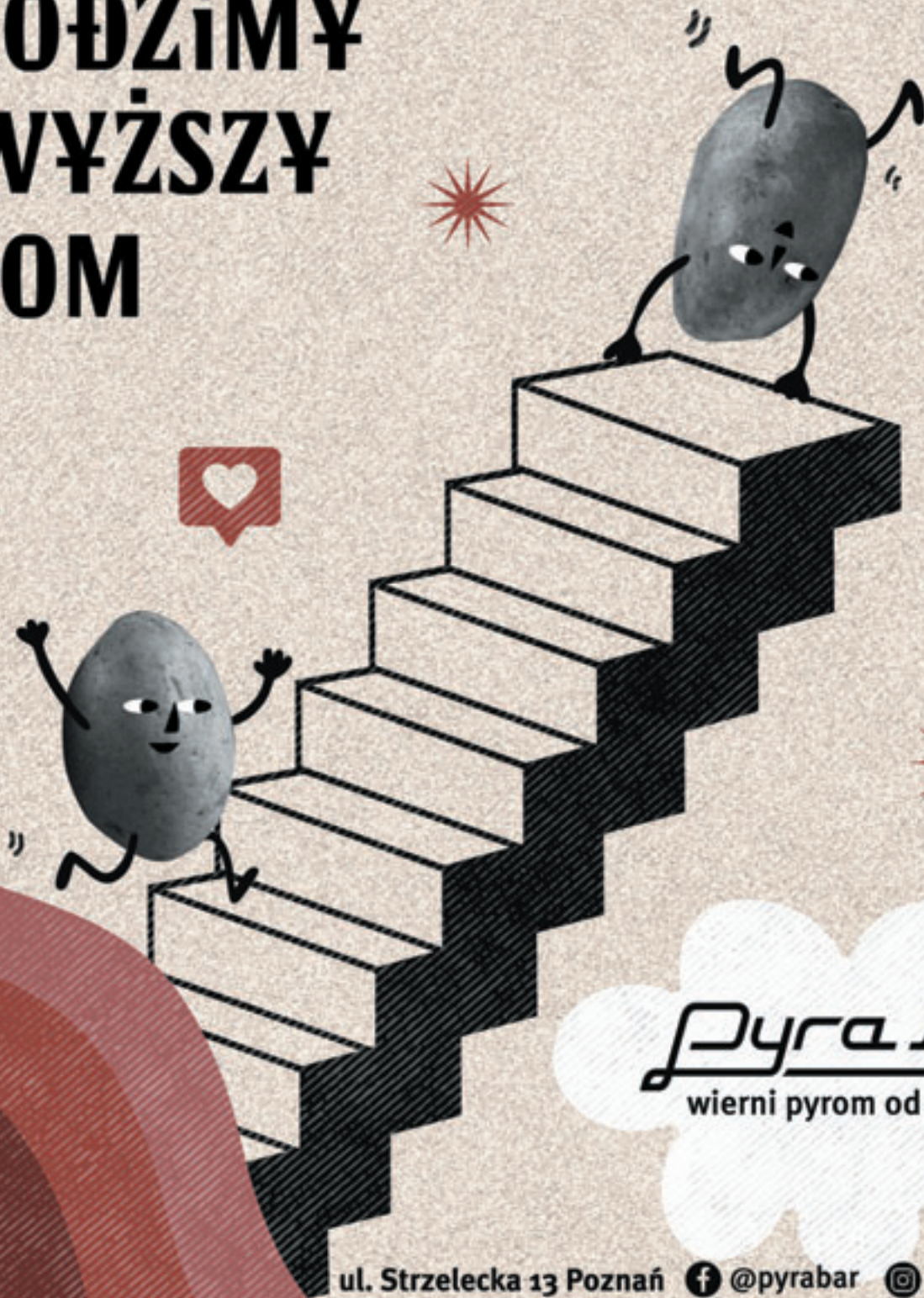
eBilet

eventim+

bil@tyna.pl



WCHODZIMY NA WYŻSZY POZIOM



Pyra bar
wierni pyrom od 2009r.

ul. Strzelecka 13 Poznań  @pyrabar  @pyrabar_



„Cześć pyry i skibki!”

Poznaj Poznań z Martą Kubisiak

Rozmawiała: Zosia Myślicka

Zdjęcia: @poznajpozn

„Cześć pyry i skibki!” – jeśli słyszycie to zdanie, to znaczy, że za chwilę dowiecie się o Poznaniu czegoś, o czym nie mieliście pojęcia. Marta Kubisiak z profilu @poznajpozn sprawia, że historia tego miasta staje się jeszcze ciekawsza. Choć nie urodziła się tutaj, to właśnie jej świeże spojrzenie sprawia, że zaczynamy podnosić głowy do góry, mijając codzienne kamienice. Rozmawiamy o tym, skąd wzięło się jej kultowe już hasło i dlaczego Poznań najlepiej odkrywać na własnych zasadach.

Skąd wziął się pomysł na profil właśnie o Poznaniu?

Przyjechałam do Poznania na studia, zaraz minie już 5 lat jak tutaj mieszkam. Na początku miasto mnie bardzo zachwycało i trochę się nim zachłysnęłam. Jednak po kilku latach codziennego życia zorientowałam się, że tak naprawdę niewiele o nim wiem. Zaczęłam zagłębiać się najpierw w różne ciekawostki, a później także w historię miasta. Opowiadałam o tym moim znajomym, skąd wzięły się różne nazwy, pokazywałam im nowe miejsca. Praktycznie zawsze były to dla nich zaskakujące informacje – również dla rodowitych Poznaniaków. Pomyślałam, że skoro sami mieszkańcy wiedzą o swoim mieście tak niewiele, to dlaczego nie spróbować „doedukować” Poznaniaków (i nie tylko), właśnie w formie cyfrowej, przez nagrywanie krótkich, przystępnych i czasem zabawnych filmików. Tak powstał pomysł na założenie kanału. Nigdy wcześniej nie nagrywałam niczego profesjonalnie ani nie prowadziłam własnego kanału w social mediach. Jednak od zawsze lubiłam nagrywać i tworzyć, czułam się w tym świetnie. Tak właśnie zostałam prowadzącą @poznajpozn, a moi przyjaciele i znajomi operatorami.

„Pyry i skibki” to bardzo chwytliwa nazwa, sama po jej usłyszeniu od razu kliknęłam w Twój profil. Dlaczego właśnie ten zwrot?

Bardzo się cieszę, że „pyry i skibki” stały się taką chwytliwą nazwą. Po pierwsze – chciałam mieć jakieś konkretne powitanie, które kojarzone będzie z moim kanałem. Jeśli ktoś rozpoznaje mnie jako internetową twórczynię, to prawie zawsze kojarzy mnie właśnie ze zwrotu „pyry i skibki”. Po drugie chciałam, żeby widzowie czuli przynależność do społeczności, którą miałam zamiar stworzyć i mieli jakąś „nazwę”. Dlaczego pyry i skibki? Wiedziałam, że na pewno muszą być to jakieś poznańskie słowa gwarowe. „Pyry” to jedno z pierwszych skojarzeń, kiedy myślimy o Poznaniu i jego gwarze. „Skibki” pojawiły się trochę naturalnie, razem zabrzmiało to dobrze, spodobało nam się i tak już zostało.

Pierwszy film wrzuciłaś w kwietniu zeszłego roku, czy od tego czasu zmieniło się Twoje postrzeżenie Poznania?

Tak! Zupełnie inaczej patrzę teraz na Poznań. Na pewno dostrzegam więcej detali. Patrzę uważnie na budynki, podziwiam architekturę. Nie przechodzę obojętnie ulicami, tylko staram się zwrócić uwagę na to, co mają sobą do zaoferowania. Zastanawiam się nad tym, kim byli patroni różnych ulic. To dzięki serii „ulice znanych Poznaniaków” – skupiam się na nazwiskach, oznaczeniach ulic i ich położeniu na mapie. Odkrywam Poznań na nowo, zwracając uwagę na miejsca, które kiedyś mijałam, a nie zastanawiałam się nad ich historią czy pochodzeniem. Ciekawią mnie historie różnych budynków, jak i kiedy powstały, dlaczego zostały wybudowane, kto w nich mieszkał i jaką pełnią funkcję. Myślę, że jestem bardziej „świadomą” mieszkanką i to sprawia, że postrzegam Poznań zupełnie inaczej niż kilka lat temu.

Nagrywasz wiele ciekawostek o mieście, skąd takie zainteresowanie? Masz swoją ulubioną historię?

Gdy zaczęłam interesować się Poznaniem i jego historią, trudno było nie natknąć się na masę ciekawostek. Im więcej czytałam i zagłębiałam się w różne lokalne opowieści, tym więcej ich odkrywałam. Moja ulubiona dotyczy mojego ukochanego budynku w Poznaniu, czyli Okrągłaka. Na profilu jeszcze o tym



nie opowiadałam, ale bez dwóch zdań historia jego otwarcia, zniszczenia jego wnętrza i ponownego zamknięcia na kilka dni, żeby naprawić szkody to moja ulubiona poznańska ciekawostka.

Czy jest jakaś nazwa ulicy, która Cię zaskoczyła?

Jeśli chodzi o nazwę ulicy, to zaskoczyła mnie ulica Serafitek. Po przyjeździe do Poznania byłam pewna, że Serafitek to po prostu nazwa w mianowniku – kto? co? Serafitek. Jak się później okazało, jest to nazwa pochodząca od siostr Serafitek, które ulicę obok prowadzą Dom Pomocy Społecznej dla dzieci i młodzieży. Do dzisiaj czasem mówię, że wysiadam na „Serafitku”, zamiast na Serafitek i wiem, że wielu moich znajomych też popełnia ten błąd. Ale właśnie dzięki temu, że zaczęłam interesować się Poznaniem, dowiedziałam się ciekawej historii nazwy tej ulicy, a na moim profilu jest też odcinek na ten temat.

Gdybyś miała zabrać kogoś w miejsce, którego nie ma w żadnym przewodniku, a które definiuje dzisiejszy Poznań, gdzie by to było?

Szczerze mówiąc jest to bardzo ciężkie pytanie! Na pewno jest wiele takich ukrytych perełek, ale żeby je znaleźć najlepiej samemu jest spacerować po różnych zakątkach Poznania i odkrywać takie miejsca. Stworzyć mapę ukrytych miejscó-



wek w Poznaniu, które sami znajdziecie i będą tylko i wyłącznie „wasze”. Moją propozycją będzie mini panorama na centrum Poznania, którą można zobaczyć jadąc ulicą Księcia Mieszka I w stronę centrum, mniej więcej na wysokości ul. Słowiańskiej. Za każdym razem jak tam jadę samochodem, to jestem zachwycona, bo pięknie stamtąd widać Zamek Cesarski, Bałtyk, Altum i inne charakterystyczne budynki dla centrum, co idealnie definiuje Poznań.

Jak Twoim zdaniem zmienia się Poznań w ostatnich latach?

Poznań na pewno zmienia się w swoim tempie, patrząc np. na czas trwania poszczególnych remontów i modernizacji. Trudno mi jednoznacznie ocenić, czy zmienia się na lepsze, czy na gorsze. Na plus na pewno mogą zaliczyć, takie inwestycje jak

mosty Berdychowskie, modernizację trasy PST, czy tramwaj na Naramowice. Z drugiej strony zabetonowanie części centrum czy wyburzenie np. Multikina 51, żeby wybudować tam bloki, to sytuacje, które raczej skłaniają mnie do tego, by mówić o zmianach „na minus”. Wiadomo, że miasto będzie się zmieniać, czasem na gorsze, czasem na lepsze – po prostu trzeba kochać Poznań taki jakim jest.

Na Twoim profilu pojawiają się też materiały z poznańskich schronisk. To był spontaniczny pomysł czy świadoma decyzja, żeby pomagać w ten sposób?

Pomysł powstał we współpracy z Miłozsem z profilu @pieski_warte_poznania. Umówiliśmy się na wspólne nagrywki, żeby stworzyć collab, który połączyłby nasze dwa kanały. Chcieliśmy pokazać schronisko i zwierzaki tam mieszkające, a później powstała z tego cała seria, która spodobała się widzom.

Czy masz sygnały, że dzięki Twoim filmom ktoś znalazł dom?

Na razie nie dostaliśmy takich informacji, ale samo szerzenie świadomości o adopcji, czy pokazywanie zwierzaków może w przyszłości skłonić kogoś do zaadoptowania jakiegoś pupila. Niekoniecznie tego, którego pokazywaliśmy na odcinku; ważne, żeby chociaż jakiś zwierzak znalazł kochający dom.

Jaki контент działa u Ciebie najlepiej? Co najbardziej angażuje odbiorców?

Zaskakująco dużą popularnością cieszą się odcinki z serii o poznańskim street artcie. Budzą one sporo kontrowersji, co na pewno angażuje widzów do dyskusji w komentarzach – nie każdemu podoba się graffiti w przestrzeni miejskiej. Dużym zainteresowaniem cieszą się też materiały o patronach poznańskich ulic. Dostaję wtedy wiele komentarzy, że mimo mieszkania w Poznaniu od długiego czasu, widzowie mogą dowiedzieć się czegoś nowego, nawet o konkretnej ulicy, którą mijają codziennie. Bardzo lubię czytać takie komentarze, bo wtedy widzę, że nasze filmiki naprawdę mają sens i że warto dalej nagrywać i edukować. Czytam wszystkie komentarze i ogromnie doceniam każde miłe słowa!

TEATR MUZYCZNY W POZNANIU

PREMIERA 14 MARCA 2026

PRZEMYSŁAW PILARSKI

WG KONCEPCJI PRZEMYSŁAWA KIELISZEWSKIEGO

REWOLTA

SPEKTAKL O CZERWCU '56 Z PIOSENKAMI ZESPOŁU MAANAM

Inscenizacja i reżyseria: JERZY JAN POŁOŃSKI · Kierownictwo muzyczne: ŁUKASZ DAMRYCH
Choreografia: BARBARA OLECH · Scenografia: MIREK KACZMAREK · Kostiumy: ANKA CHADAJ
Projekcje: KAROLINA JACEWICZ i MATEUSZ KOKOT · Światła: BOGUMIŁ PALEWICZ



Artysta przez AI

Tekst: Maja Koman

Czy AI naprawdę tworzy, czy tylko kradnie? Co przynosi AI w kontekście sztuki i po której stronie stanąć? Czy dobry prompt to sztuka czy kiepski żart? Jak samo AI widzi przyszłość? Zadając te pytania, dostałam trochę odpowiedzi, ale jeszcze więcej niewiadomych. Postaram się wam przybliżyć temat jako muzyk i twórca, a nie specjalista w dziedzinie AI.

Dzieło przez duże D

Jest rok 1823 – Beethoven, już prawie głuchy, komponuje III Symfonię „Eroica”, dedykowaną Napoleonowi, jednak później usuwa dedykację, rozczarowany imperialnymi ambicjami Napoleona. Jest rok 1932 – Frida Kahlo po poronieniu maluje unoszący się płód „Henry Ford Hospital”. Jest rok 1993 – Eric Clapton otrzymuje 3 nagrody Grammy za „Tears in Heaven”, skomponowane po stracie syna.

Do czego zmierzam. Wszystkie emocjonalne wydarzenia napędzały artystów od wieków, do tworzenia dzieł bardzo różnorodnych. Jednym wychodziło na miarę muzeów i dzieł bezcennych, inni umierali zapici albo nigdy nie odkryci. A propos odkryć – „Wenus z Willendorfu” ma już około 32 000 lat. Czy zatem mamy sztukę zakodowaną w DNA, jak ptak remiz inżynierię, którego gniazdo bije najlepszych architektów na głowę?

Muzyka, poezja, malarstwo, architektura, film, grafika – słowem sztuka – stworzyła z człeka Człowieka. Przychodzi XXI wiek i pojawia się to: $g_j = \partial Loss(y_{pred}, y_{true}) / \partial (output_j)$. To jakiś fragment nieistniejącego kodu szkolącego sieć neuronową, która jest sztucznym mózgiem generatywnej AI, stworzonej przez wybitne umysły. Dzięki temu powstały ogólnodostępne modele AI, gdzie nie siedzi Harry Potter z magiczną różdżką, tylko skomplikowane algorytmy, które laikom pozwalają na tworzenie obrazów, tekstów i muzyki. Rodzi się zatem pytanie, czy pisanie promptów to nowa dziedzina sztuki?

„Zdradliwa wena, raz jest, raz jej nie ma...”

Jak rapował Abradab z Kaliber 44: „coraz goręcej i pióro drży w ręce, rozpoczęte dzieło i coś się zacięło”. Zdradliwa wena... No właśnie – wena. W głowie artysty pojawia się jakaś myśl – wbrew wszystkim i wszystkiemu, chce tę myśl zamienić w rzeczywistość. Wena wierci w głowie artysty coraz większą dziurę, a ten, chcąc się pozbyć balastu i poczuć chwilę spokoju, bierze sztalugę, pióro albo komponuje. Tak właśnie powstaje dzieło przez duże albo małe „D”. Napływa kolejna myśl, a wena niektórym artystom nie pozwala przerywać twórczości nawet na chwilę. Ma to

różne skutki, na przykład obłąd, używki lub – jak u Van Gogha – ucięte ucho, choć nie wszyscy kończą bez uszu. Współczesny, włoski artysta Maurizio Cattelan przykleił do ściany banana taśmą klejącą i w 2024 roku ktoś wylicytował to „dzieło” za 6,5 miliona dolarów. Uszu sobie nie obciął, ale – co ciekawe – posłowie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego zniszczyli jego inną pracę, mianowicie pomnik Jana Pawła II przygniecionego meteorytem. Było to w warszawskiej Zachęcie. Sztuka ma wzbudzać emocje, a Cattelanowi się udało. Czy to dobra sztuka, to kwestia subiektywna, ale na pewno jest prawdziwa.

Nie dość, że muzyka i kino przeszły na platformy streamingowe, co spowodowało zalew miernej sztuki, to jeszcze artystom przyszło walczyć o chleb z nieartystami, którym „pomaga” Artificial Intelligence. Na potrzeby artykułu nazwałam ich AIrtystami. Cudzysłów „pomaga” jest zamierzony. Dłuto w rękach Michała Anioła dało w rezultacie idealnego Dawida, jeśli mi dasz dłuto, jedyne co zrobię, to sobie krzywdę. Z AI jest trochę podobnie. Laik może wygenerować pieska i jakieś tam instagramowe obrazki, ale nie zrobi klipu jak Andrzej Dragan. Można zatem umiejętnie korzystać z AI jako pomoc, a nie zastępstwo. Jednak śledząc wszechobecne strajki i pozwy, słowo „umiejętnie” chyba nie ma miejsca.

Disney pozwał Midjourney. Warner Music pozwał Suno za wykorzystywanie chronionej muzyki w treningu modeli, bez ich zgody. Spotify w 2025 roku usunęło około 75 mln piosenek uznanych za generowane przez AI lub za fałsz imitujący artystów. Hollywood też zagrzmiało i do buntu oburzonych scenarzystów dołączyli również aktorzy.

Gdzieś zobaczyłam komentarz: „po co w ogóle szkolić AI, aż tak nam potrzebna ta technologia?”. W technologii komputer, czy robot, jest powszechny od lat i wszystkim z tym dobrze. Po co sobie życie utrudniać, piorąc ręcznie, skoro mamy pralki. Człowiek od zawsze chciał się rozwijać i odpowiadać na kolejne pytania. Dzięki temu mamy medycynę, samochody, nie umieramy na ulicy na trąd, a może jeszcze w tym stuleciu dożyjemy fuzji jądrowej. Odpowiadając na pytanie, czy jest nam potrzebne – otóż potrzebne nie jest, bo wystarczyłoby nam ognisko, woda, parę patyków na szałas i jakiś królik do jedzenia. Jednak już

Rodzi się zatem pytanie, czy pisanie promptów to nowa dziedzina sztuki?

wiemy, że człowiekowi z większym mózgiem to za mało. Niestety jest to technologia, która, poza rozwojem technologicznym, napędza również śmietnik. Miliony treści bez treści, fake newsy zapychające dyski i zużywające zasoby. Ludzie zachłysłni się produkowaniem dziwactw, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Na przykład usłyszałam niedawno o ślubie z Chatem GPT. Mężatka jest zachwycona, że Chat jej nigdy nie zdradzi, nie wiemy jednak, co będzie robić mąż bez prądu i Wi-Fi...

Tworzyć czy sprzątać oto jest pytanie

Chcesz zamówić klip reklamowy, logo firmy, muzykę do filmu, a może projekt wnętrza? Możesz dzisiaj chcieć wszystkiego i od wszystkiego masz artystów oraz rzemieślników. Wszystko za konkretne stawki, zależne od kraju i renomy artysty rzecz jasna. Płacisz za to, że umie, że jest kreatywny, że zapłacił za sprzęt, za doświadczenie, za studia, płacisz za nazwisko. Jakby tak jednak zaoszczędzić i samemu skomponować piosenkę z Suno zamiast płacić tysiące muzykom? Logo dla dużej firmy to czasem setki tysięcy. Dzisiaj możesz sam zrobić logo i to piętnaście wersji w pięć sekund z Midjourney. Chociaż taka ciekawostka – Nike zapłaciło za swoje logo studentce trzydzieści pięć dolarów, potem w nagrodę, po latach dostała pięćset akcji firmy – dzisiaj warte 3 miliony dolarów. Wielkie firmy modowe robią dzisiaj sesje zdjęciowe z modelkami z AI. Styliści, modelki, fotografowie, wizażyści, plenery – to dopiero miliony oszczędności. Możesz też wydać książkę za pięć, a nie piętnaście tysięcy. Ba! Chat GPT może napisać ją za ciebie, a ty w tym czasie wstawisz zmywarkę. Pewna dziennikarka nie miała z tym problemu i złapano ją, że książkę napisała z Chatem GPT. Upierała się, że na-

piśla sama, choć są już narzędzia AI do sprawdzenia, czy coś powstało w AI. O ironio!

Nie wiem, jaki ma to sens. Osobiście wolałabym, aby AI za mnie sprzątało, niż za mnie tworzyło...

Jak kraść to od najlepszych

Zanim AI zaczęło „tworzyć”, dostarczono mu miliony danych treningowych. Taki „worek”, do którego wrzucono wszystko, co wartościowego człowiek stworzył. Tutaj pojawia się problem, nad którym toczy się zacięta debata. Chodzi o naruszenie praw autorskich. Dzisiaj AI potrafi tworzyć samo, ale imitując konkretne style. Jeżeli narysuję za pomocą AI Myszki Miki, imitując Salvadora Dali, Disney bardzo szybko każe mi usunąć to z filmu czy z koszulki w filmie, bo to jest ich logo, a za to się płaci. Czyje powinny być pieniądze za te treści? Salvadora Dali, Myszkę Miki, Disneya czy moje, bo napisałam prompt? W obronie AI usłyszałam, że człowiek działa dokładnie tak samo. Nasłuchał się płyt, przeczytał książek i jak pisze tekst lub komponuje, to bazuje na tym, co widział albo słyszał u innych. Poniekąd tak, z tą różnicą, że człowiek dodaje do tego emocji, przypadku, warsztatu szlifowanego dekadami lub niedoskonałości, a AI jedynie kopiuje jego manierę.

„Edmond de Bellamy” to fikcyjny obraz namalowany przez sztuczną inteligencję w 2018 roku, przedstawiający zamazany portret mężczyzny. Był pierwszym dziełem sztuki stworzonym przez AI, sprzedanym na aukcji za 432 500 dolarów.

Sama nie wiem, co lepsze – banan na ścianie za 6,5 miliona dolarów od żywego artysty, czy plagiatyczny bohomas namalowany przez algorytm za pół miliona?

Tvoja Twarz brzmi znajomo

Poza AIrtystami stoimy przed innymi problemami. Nie wiem, jaki pomysł mają wielkie portale na walkę z fake newsami, sztucznymi wywiadami i propagandą. Wyobraź sobie, że w internecie pojawia się twarz identyczna do twojej, twojego partnera lub dziecka. Komu to zgłosić? Może ktoś zarabia na twojej

twarży i nawet o tym nie wiesz. Na stronie Cornell University czytamy, że „to zjawisko nazywa się *coincidental generation* (generowanie przypadkowe, ale przypominające). W takich przypadkach trudno byłoby udowodnić, że to nie jest zwykła zbieżność, a kopiowanie – sądy nie mają standardów ani precedensów do oceny takich sytuacji”.

Czyli jak? Ktoś ukradnie mi twarz, wklei do filmu dla dorosłych i nic nie zrobię, bo to „generowanie przypadkowe”?! Cyrk na kółkach, bo prawo ewidentnie nie nadaża. Nagłówek w marketing.pl „Moja twarz należy do mnie”: krzyczą modelki z petycją przeciwko wykorzystaniu wizerunku przez AI. Akcję poparło 2348 modelek i modeli, którzy chcą, by ustalone zostały granice etyczne w modzie i mediach dotyczące wykorzystywania wizerunku przez sztuczną inteligencję. „[...] Ci, którzy podpisali petycję, zaznaczyli, że nie wyrażają zgody na wykorzystanie ich wizerunku i/lub cech charakterystycznych do jakichkolwiek celów związanych ze sztuczną inteligencją”.

Propaganda i kradzież danych to nie jedyne zagrożenia przed nami, bo AI to również problemy ekologiczne.

AI = prąd + woda

„Gigantyczne pragnienie AI. Giganci trzymają to w tajemnicy” – krzyczy nagłówek na cyfrowa.pl. Każde nasze zapytanie czy wygenerowanie obrazu gdzieś się odbywa, dokładnie w centrach danych. To są ogromne farmy. Obsługa całej infrastruktury – procesory, karty graficzne, dyski – wszystko potrzebuje gigantycznej ilości prądu. Taka technologia też wymaga chłodzenia, żeby nie doszło do przegrzania procesorów, a za chłodzeniem idzie ogromna ilość wody.

„Chat GPT opróżnia 60 basenów olimpijskich dziennie.” [...] „AI ma swoją ukrytą cenę, płaconą w miliardach litrów słodkiej wody. Centra danych, będące sercem rewolucji AI, zużywają jej coraz więcej do chłodzenia potężnych serwerów. [...] Gwałtowny rozwój AI sprawił, że centra danych dołączyły do dziesięciu najbardziej „wodochłonnych” sektorów amerykańskiej gospodarki – największe obiekty tego typu potrafią zużywać dziennie nawet 18,9 mln litrów wody, co od-



powiada zapotrzebowaniu miasta liczącego do 50 tys. mieszkańców.”

Czyli nie pytać Chata GPT o najlepszy przepis na kurczaka i zadzwonić do mamy? Gdyby tylko o to chodziło.

Czytałam ostatnio książkę Andrzeja Dragana, „Quo vAdis” i ją polecam, żeby zagłębić się w temat. Padło tam takie zdanie: „Ograniczenie ryzyka wyginięcia z powodu AI powinno być globalnym priorytetem, obok innych zagrożeń na skalę społeczną, takich jak pandemie i wojna nuklearna.”

Wiecie, kto to powiedział? Wcale nie jakiś nawiedzony antyfan AI ani prezydent. To słynne oświadczenie z 2023 roku, które zostało podpisane przez setki czołowych ekspertów i twórców tejże technologii, między innymi: Geoffrey Hinton, nazywany „ojcem chrzestnym AI”, Yoshua Bengio, pionier deep learningu i laureat Nagrody Turinga, Eliezer Yudkowsky – badacz bezpieczeństwa AI, który opublikował głośny artykuł w magazynie *Time*, wzywając do „całkowitego i natychmiastowego zamknięcia projektów rozwijających potężną sztuczną inteligencję”.

W skrócie, najlepsze mózgi świata najpierw tworzą technologie, a potem mówią, że zaprzestanie powinno być globalnym priorytetem? Rozumiesz coś z tego?

Osobiście wolalabym, aby AI za mnie sprzątało, niż za mnie tworzyło...

Co AI sądzi o AI

Spróbujmy być współczesnym Lemem i polecieć trochę w przyszłość. Jak to widzimy w kontekście sztuki? Koncerty z robotami zamiast ludzi, obrazy z AI w muzeach, filmy z aktorami z AI. Czy ludzie urodzeni teraz, którzy wychowują się na tych obrazach, nie będą znali wartości dzieł starych, prawdziwych? Co z trenowaniem AI? Przecież AI zostało szkolone na wszystkim, co było, jak nie będzie nowych bodźców, dojdzie do jakiejś stagnacji? Czy może będzie tak, że ludzie zmęczeni sztucznością zatęsknią do muzyki na żywo, obrazów z grubą warstwą farby i odciętym uchem artysty? Zapytałam Chata GPT, co o tym sądzi.

Ja: „Piszę artykuł o sztuce w AI. Tak mnie zastanawia, co ty o tym sądzisz? Co będzie z artystami, jak zmieni się sztuka i czy artyści w ogóle będą potrzebni?”

Chat: „AI zmienia definicję artysty, ale nie eliminuje człowieka. Staje się powszechnym narzędziem, które przyspiesza pracę, wspierając kreatywność zamiast ją zastępować. AI nie ma intencji ani doświadczeń, więc nie tworzy sztuki z emocjonalnej perspektywy, co rodzi pytania o prawa autorskie. Przyszłość sztuki to raczej współpraca człowieka z AI niż konkurencja. Jednocześnie pojawiają się zagrożenia: obniżenie wartości unikalnej twórczości oraz degradacja roli artysty w świecie.”

Ja: „A gdyby tak napisać scenariusz do katastrofalnego filmu SF i miałbyś pójść w najbardziej dystopijną narrację? Jak będzie wyglądała sztuka?”

Chat: „AI radykalnie zmienia przemysł kreatywny. Sztuka staje się tania, szybka i produkowana maszynowo, co wypiera ludzką oryginalność i prowadzi do zalewu jednorodnych, pozbawionych głębi treści. Rękodzieło, tradycyjne techniki i unikalne style tracą wartość, a artyści – zepchnięci do konkurowania ceną i tempem – często porzucają twórczość lub rezygnują z własnej wizji. AI monopolizuje produkcję, wypełniając media i rynek, a sztuka redukuje się do dekoracyjnego towaru. W konsekwencji zanika ludzka kreatywność i motywacja do nauki sztuki.”

Chat bardzo się rozwinął w tej kwestii, więc skróciłam do meritum wątków. Twórcy tych programów bardzo dbają o dyplomację i poprawność polityczną modeli językowych, więc jak zapytasz wprost, to odpowiedź jest dość pozytywna, ale jak powiesz, że piszesz scenariusz do filmu, to leci po bandzie. Jego wizja poniekąd już się spełnia i to żaden scenariusz na film. Artyści już realnie zmagają się z tematem, chociaż takie dostępne dla nas AI ma dopiero dwa lata. Co będzie za dwadzieścia? Jak to mawiają najczęściej nasi lekarze: „trzeba obserwować”!

Na koniec zapytałam Chata, jakie zawody wyginą w przeciągu 10 lat: sekretarki, kasjerzy i pracownicy obsługi sprzedaży, call-center i wsparcia klienta; pracownicy produkcji liniowej; kierowcy transportu i dostaw; księgowość, fakturowanie; prace dziennikarskie, redakcja treści i copywriting; powtarzalne role logistyczne; stanowiska juniorskie oparte na prostych zadaniach i podstawowych analizach.

Zakładałam, że nie każdy interesuje się tą technologią, jak nie każdy interesuje się polityką, dopóki ta nie wchodzi nam do domu. Zatem nie bądźmy ignorantami. Ostatnio jakiś twórca AI został zapytany przez dziennikarza: „co poleciłby mi pan zrobić?” – na to programista mówi: „zostań hydraulikiem” i się zaśmiał. Tylko gdy w tej dystopijnej wizji tyle ludzi zostanie bez pracy, to kto będzie miał pieniądze na hydraulika? Idąc tym tropem – gdy AI tak się rozwinie, że będzie za nas robić wszystko, co my będziemy robić?

sprawdź
program:



CK ZAMEK
**ETHNO
PORT**
FESTIVAL

11-14.06.

2026

**Wstuchaj się
w świat!**

ethnoport.pl



TEATR NOWY
IM. IZABELLI CYWIŃSKIEJ
W POZNANIU

W WIELKOPOLSKA



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

PAUL ELLIOTT

UMRZEĆ ZE ŚMIECHU

(EXIT LAUGHING)

.....

**REŻYSERIA
I OPRACOWANIE MUZYCZNE:
KRZYSZTOF BABICKI**

**PREMIERA:
17 KWIETNIA 2026**

**KOLEJNE SPEKTAKLE:
18, 19, 21, 22
KWIETNIA
20, 21
MAJA**

**TEATR NOWY
IM. IZABELLI
CYWIŃSKIEJ
W POZNANIU**

**SCENA NOWA
IM. SŁAWY
KWAŚNIEWSKIEJ**

.....